

W dyskusji toczącej się już od dłuższego czasu wokół zagadnień cen doszło ostatnio do skrytyzowania poglądów na założenia podstawowe, do których należałoby zwrócić uwagę w ramach ogólnych zmian modelowych naszej gospodarki. Mało natomiast i raczej tylko marginalnie, dyskutowany był problem form przejściowych i metod przejścia do nowego systemu cen. Wraz z odrzuceniem krafcowych teorii tzw. „wartościowców”, zniknęły mizraze pełnego „automatyzmu” w procesie kształtowania cen. Obecnie zdajemy sobie sprawę z trudności i poważnych komplikacji, a w konsekwencji długotrwałości przemian w systemie cen, które stoją przed nami.

Napięta sytuacja rynkowa i ogólne trudności gospodarcze wyczuły nasze społeczeństwo szczególnie mocno na wszelkie zmiany cen, zaś przyjęta na rok bieżący polityka stabilności plac i cen rynkowych artykułów szerokiego spożycia, stwarza szczególnie trudne warunki wyjściowe do prac nad nowym systemem cen.

Wszystko to zmusza do poszukiwania takich metod, które — w oparciu o już istniejący aparat gospodarczy — umożliwiłyby przeprowadzenie w okresie możliwie krótkim i niezbyt odległym, większych przygotowawczych badań i reformistycznych posunięć w dziedzinie cen, przy utrzymaniu w możliwie jak najszerszym zakresie zasady stabilności cen rynkowych. Jest to możliwe — moim zdaniem — przez wykorzystanie w okresie przejściowym obecnej dwupozycyjności cen (rynkowych i zaopatrzeniowych) w niektórych gałęziach produkcji, niektórych monopolistycznych ogniw pośrednictwa handlowego jako jednostek rozliczeniowych oraz przywrócenia w przemysłowej kategorii fabrycznych cen rozliczeniowych. Pod pojęciem ogniw pośrednictwa han-

dlowego rozumieć poszczególne, centralne lub terenowe, jednostki aparatu zbytu resortów przemysłowych lub aparatu hurtu resortu handlu wewnętrznego.

Wydać się, że można już odnotować jako uzgodnione w dyskusji stanowisko, według którego w nowym systemie:

- ceny mają być zasadniczo cenami równowagi, tj. mają

REFORMA CEN BEZ WSTRZĄSÓW

BOLESŁAW WARZECHA

przez istniejących możliwościach zapożyczenia potrzeb stwarzać warunki równowagi rynkowej, — ceny mają być jednolite w zasadzie dla wszystkich odbiorców (zależnie jedynie od wielkości dostawy: hurt — detal), a więc z wyłączeniem obecnego podwójnego poziomu cen rynkowych i zaopatrzeniowych.

Przyjęcie tych podstawowych założeń docelowo pociąga za sobą dalsze konsekwencje, a mianowicie:

- występowanie podatku obrotowego, jako podstawowej formy czystego dochodu państwa, zarówno w cenach środków konsumpcji, jak i środków produkcji,
- znaczne przesunięcie wzajemnych relacji cen wytworów różnych gałęzi produkcji, a co za tym idzie, przesunięcia w rozmiarach

rentowności poszczególnych przedsiębiorstw i gałęzi produkcji.

Przyjęcie w nowym systemie zarządzania przemysłem udziału w zysku jako drugiej po funduszu plac podstawowej formy realizacji bodźców materialnego zainteresowania, stawia problem rentowności w polu bezpośredniego zainteresowania załóg, a szczególnie ich reprezentacji — rad robotniczych. Dlatego wszelkie zewnętrzne — niezależne od przedsiębiorstwa — czynniki zmieniające po-

biorstw przemysłowych pod wpływem działania takich przejściowych w niektórych przypadkach cen zbytu, stwarzających — w zależności od ich poziomu i aktualnego poziomu cen zużytych w produkcji surowców — różny stopień rentowności.

Również przejście w zakresie cen środków konsumpcji (szczególnie artykułów konsumpcji wyższego rzędu) do ekonomicznych metod walki z panoszącą się w handlu spekulacją, będzie wymagało częstokroć dokonywania ruchu cen, nie zawsze zgodnego z aktualną polityką oddziaływania na przedsiębiorstwa wytwarzające towary, które stały się przedmiotem spekulacji.

Stąd wniosek o konieczności przejściowego oderwania cen realizacji produktów u producenta od jednolitych cen zbytu (hurtu) obowiązujących w obro-

cie.

II.

W początkowej fazie dyskusji w różnych środowiskach ekonomicznych postulowano przywrócenie w przemyśle cen rozliczeniowych (lub tzw. cen fabrycznych, różnica polega na nieco odmiennym podejściu do metod zastosowania tych cen w systemie rozliczeń, jednak bez zmiany ich istotnej treści — na lamach „Życia Gospodarczego” pogląd ten reprezentowali J. Borysiewicz i B. Jakubowski — Nr 22—56), opartych na kosztach poszczególnych przedsiębiorstw lub grupy przedsiębiorstw pracujących w warunkach zbliżonych.

Przedsiębiorstwa przemysłowe zbywałyby produkcję według cen rozliczeniowych, zapewniających im jako bazę wyjściową uzyskanie możliwie jednolitej, przyjętej dla danej gałęzi przemysłu stopy zysku. Przedsiębiorstwa przemysłowe rozliczałyby się według tych cen z organizacjami obrotu, te zaś prowadzącyby realizację już według cen jednolitych. Odchylenia cen rozliczeniowych od jednolitych cen zby-

wać, aby najdoskonalszy nawet system cen całkowicie wyrównał obiektywne warunki rentowności na 1 zatrudnionego. Dlatego też zasady tworzenia funduszu muszą być tak skonstruowane, aby niwelowały (przynajmniej w ogólnych zarysach) nieuzasadnione różnice. W dotychczasowym systemie rolę „niwelatora” pełnił wskaźnik zysku planowego. Jak jednak rozwiązać sprawę przy słusznym skądinąd odejściu od wiązania bodźców z wskaźnikami planowymi?

W artykule pt. „Próba konstrukcji systemu bodźców z zysku” W. Brus wysnuł koncepcję ustalania proporcji podziału zysku między państwo a przedsiębiorstwo nie na podstawie absolutnej wielkości zysku, lecz na podstawie wielkości wyrażającej stosunek zysku do funduszu plac. Projekt Ministerstwa Finansów opiera się na tej samej zasadzie z tą formalną różnicą, że podczas gdy Brus określał (w formie opodatkowania) udział państwa, a przedsiębiorstwo miało otrzymać „resztę” — to projekt Ministerstwa Finansów odwraca sprawę, określając udział przedsiębiorstwa. W art. 5 projektu czytamy, że „stosunek procentowy (funduszu zakładowego do zysku na 1958 r.) ustala się w takiej wysokości, w jakiej pozostaje 5 proc. zarobkowego w 1957 r. osobowego funduszu plac do... sumy faktycznie osiągniętego w 1957 r. zysku, a jeżeli zysk ten jest niższy od sumy zysku planowanego na rok 1957 — do sumy zysku planowanego na rok 1957”. Mamy tu więc ten sam wzór na obliczenie odpisu na fundusz za-

kladowy $(a \cdot \frac{y}{m})$, z tym, że Ministerstwo ustala konkretnie $a=5\%$. Jeśli np. w 1957 r. zysk przedsiębiorstwa wynosił 1 000 000 zł, a fundusz plac 5 000 000 zł, to odpis na fundusz zakładowy w 1958 r. wyniósłby 25% zysku $(5 \cdot \frac{1 000 000}{4 000 000})$.

Do tego momentu trudno, wydaje się, zgłaszać zastrzeżenia. Wątpliwości zaczynają się dopiero w związku z metodą zastosowaną tak ustalonej procentowej stawki odpisu. Projekt Ministerstwa Finansów przewiduje zastosowanie stawki do całego zysku osiągniętego w 1958 r.: jeśli zysk w 1958 r. wyniesie 1 200 000 zł — fundusz zakładowy wyniesie 300 000 zł (25 proc. całej sumy), jeśli 1 300 000 zł — 325 000 zł itd. Projekt opiera się więc na zasadzie zwykłego udziału w sumie

zysku bez szczególnego uwzględnienia przyczyn zysku, podczas gdy wnioski Brusa idą w kierunku silnego preferowania przystosowania (stawka procentowa odpisu odnosi się tylko do zysku w wysokości równej sumie zysku roku ubiegłego, natomiast w przyszłości ponad tę sumę przedsiębiorstwo uczestniczy w znacznie silniejszym stopniu). Trzeba podkreślić, że w obecnie obowiązującej ustawie przystosowanie jest faktycznie „uprzywilejowane” w formie większego udziału w zysku ponad planowy. Forma zysku ponadplanowego jest zła — należy ją odrzucić, ale czy razem z nią trzeba wyrzucić za burtę ideę opierania bodźców z zysku w znacznym stopniu na przystosowaniu? Stanowczo — nie! Nieuwzględnienie czynnika przystosowania oznacza praktycznie — jak tego nie raz już dowodzono — „pożeranie” bodźców opartych na zysku.

Nie tu miejsce na teoretyczne uzasadnianie walorów przystosowania jako podstawy bodźców. Spójrzmy jednak, jakie konsekwencje praktyczne spowodowałyby przyjęcie projektu Ministerstwa w stosunku do propozycji „przystosowanych”.

Bierzemy dane wyjściowe z poprzedniego przykładu (zysk w 1957 r. = 1 000 000 zł, fundusz plac = 5 000 000 zł), przyjmujemy współczynnik a według projektu Ministerstwa (5 proc.) i zakładamy, że zysk w 1958 r. wzrósł o 20 proc. (wyniesie więc 1 200 000 zł) przy niezmienionym funduszu plac.

Według projektu Ministerstwa Finansów fundusz zakładowy na 1958 r. obliczony na podstawie tych elementów, wyniósłby 25 proc. od 1 200 000 zł czyli 300 000 zł. Natomiast przy zastosowaniu zasady, że stawka odpisu odnosi się tylko do wysokości zysku równej sumie zysku z roku ubiegłego, a przystosowanie w całości przypada przedsiębiorstwu, fundusz zakładowy wyniósłby 450 000 zł (25 proc. od 1 800 000 zł plus 200 000 zł przystosowania). Przy zmienionym nieco założeniu (przedsiębiorstwo uzyskuje nie cały, lecz np. 80 proc. rocznego przystosowania — fundusz zakładowy wyniósłby 410 000 zł).

Przyjęcie projektu Ministerstwa idzie w kierunku silnego ograniczenia wielkości funduszu zakładowego. Załoga mogłaby wygospodarować w 1958 r. pełną 13-ty pensję pod warunkiem, że osiągnęłaby w ciągu tego roku, przy niezmienionym funduszu plac (a więc bez

zysku) wzrost zatrudnienia, zysk większy niż 70 proc. od zysku 1957 r. Dopiero bowiem, gdy zysk osiągnąłby 1 700 000 zł — fundusz zakładowy mógłby wynieść 435 000 zł, co równa się 8,5 proc. funduszu plac 5 000 000 zł, a więc daje „13-ty pensję”. W dodatku w projekcie można o funduszu zakładowym jako całości, który ma wystarczyć nie tylko na indywidualne wypłaty z tytułu udziału w zyskach, lecz także na wydatki socjalno - kulturalne, mieszkaniowe itp.

Przy tak drakońskim obniżeniu warunków uzyskania funduszu zakładowego autorzy projektu nie zdobyli się nawet na platoniczny zysk zniszczenia górnej granicy wypłat. Słynny „pułap” zostaje zachowany w całej rozciągłości w postaci przepisu (w art. 8), że „łączna kwota wypłat na nagrody pracowników oraz na inne cele związane z ich potrzebami nie może przekraczać 8,5 proc. planowanego osobowego funduszu plac”. Poza niezmienionymi wyjątkami limit ten nie miałby dla przedsiębiorstw żadnego znaczenia jako nieosiągalny. Ale sam fakt pozostawienia go w projekcie jest bardzo charakterystyczny.

Sprawa tworzenia funduszu zakładowego odgrywa rolę centralną. Z tego właśnie punktu widzenia projekt, jak się wydaje, nie spełnia oczekiwań. Dalsza dyskusja, która musi się rozwinąć, wykaże czy ocena nasza jest słuszna.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Ani w projekcie ustawy, ani w projekcie rozporządzenia Rady Ministrów nie ma żadnej wzmianki o radach robotniczych. Ustęp 1 paragrafu 8 projektu rozporządzenia Rady Ministrów mgliście stwierdza, że „podstawę do dokonywania wydatków ze środków funduszu zakładowego stanowią odpowiednie preliminarze, zatwierdzone przez załogę przedsiębiorstwa lub jej przedstawicieli”. W ustępie 2 tegoż paragrafu czytamy: „Środkami funduszu zakładowego dysponuje dyrektor przedsiębiorstwa w oparciu o zatwierdzone preliminarze, w porozumieniu z radą zakładową”. Wreszcie ostatnie zdanie: „Z wykonania preliminarza dyrektor składa załozę obszerne sprawozdanie”.

Ciekawe, czy wykarczowanie pojęcia „rada robotnicza” z tekstu jest po prostu niedopatrzieniem redakcyjnym?

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

NIEMIARODAJNY WSKAŹNIK

EDWARD ROSE

Jeszcze przed ostatnią wojną, a więc stosunkowo nie tak dawno — wskaźnik zużycia węgla na głowę ludności uważany był w Europie za jedno z kryteriów rozwoju gospodarczego danego kraju. W każdym razie wskaźnik ten, niesłyszany wówczas dla Polski niski, niższy niż w krajach o podobnej strukturze gospodarczej, wymieniany był często jako dowód naszego zacofania.

Po ostatniej wojnie sytuacja w Polsce uległa radykalnej zmianie. Zużycie węgla wzrosło w stopniu nikt nie spotykał; wskaźnik ten sięga dziś u nas liczb zbliżonych do uprzemysłowionych krajów Europy.

Ilustracją posłużyć mogą podane w tabeli liczby, które noszą raczej charakter orientacyjny, a w zasadzie oznaczają zużycie węgla kamiennego. Ze względu na dużą produkcję węgla brunatnego w Niemczech i Czechosłowacji dane dla tych krajów oraz powojenne dane dla ZSRR obejmują również zużycie węgla brunatnego, przy przeliczeniu go na węgiel kamienny w stosunku 2:1 (patrz: tabl. str. 3).

Z zestawienia tego wynika, że omawiany wskaźnik kształtował się po wojnie, w porównaniu ze stanem przedwojennym, nader niejednorodnie w poszczególnych krajach.

W Polsce zużycie węgla jest już dziś stosunkowo wysokie, nie odpowiada ono jednak jeszcze istniejącym potrzebom, gdyż wzrost wydobycia węgla nie postępuje w proporcji do ich wzrostu. Można się zatem liczyć, że w przeciągu kilku lat wskaźnik zużycia węgla na

głowę osiągnie u nas jeszcze wyższy poziom, przy czym nie jest wcale wykluczone, że z czasem wybijemy się pod tym względem na jedno z pierwszych miejsc. Czy stanowi to powód do zadowolenia?

Nic podobnego! Aby móc należycie ocenić sens i wartość wszelkich porównawczych zestawień z tego zakresu, trzeba całe zagadnienie przeanalizować znacznie głębiej. Jeśli istotnie jeszcze przed ostatnią wojną można było względna wysokość zużycia węgla oceniać w pewnej mierze jako jeden ze sprawdzianów rozwoju gospodarczego kraju, to miało to swoją specjalną przyczynę. Wówczas bowiem w Europie i w Stanach Zjednoczonych AP sytuacja była całkiem odmienna. Węgla, zużywany przeważnie w postaci naturalnej, był wszędzie główną podstawą bilansu energetycznego. Ponadto węgiel służył jako surowiec do przeróbki chemicznej. Różnice w skali zużycia węgla pochodziły więc z różnic w wysokości zapotrzebowania na cele energetyczne i przeróbki chemicznej.

Wchodził tu jeszcze w grę czynnik racjonalnej gospodarki węglem. Im mianowicie wyższy jest poziom tej gospodarki, tym mniejsza ilość węgla osiągnąć można ten sam efekt produkcyjny. Poziom tej gospodarki określały takie wskaźniki, jak np. zużycie węgla na wytworzenie jednej kilowatogodziny lub wielkość wsadu węgla na 1 tonę koksu. Różnice w tych wskaźnikach zależały oczywiście od stanu postępu technicznego i mogą być nieraz poważne. Niemniej schodzą one na pewno na dalszy plan w porównaniu z decydującym znaczeniem ogólnego zapotrzebowania na węgiel, które w przedwojennych warunkach zależało niemal wszędzie w Europie głównie od tempa rozwoju gospodarczego kraju.

Otóż pod tym względem zachodzi dziś w porównaniu z ówczesnymi warunkami całkiem zasadnicza różnica. Węgiel pozostaje wprowadzicie nadal głównym dla naszego kontynentu źródłem energii i niezastąpionym surowcem przeróbki chemicznej, jednak równocześnie znacząco się w Europie nowe tendencje, które mają bezpośredni wpływ na wysokość jego zużycia. Chodzi tu mianowicie o coraz silniejszą konkurencję ze strony innych źródeł energii oraz o przemiany w sposobie użytkowania węgla, które zmierzają do jego przetworzenia, przede wszystkim na energię elektryczną.

Jeśli w niektórych z wymienionych krajów wskaźnik zużycia węgla na głowę ludności jest dziś w liczbie absolutnej pokątnie niższy niż przed wojną, przypisać to należy głównie tym dwóm czynnikom. Znamienne jest, że spadek tego wskaźnika zanotować można szczególnie w takich krajach, które — jak przede wszystkim Stany Zjednoczone — są wielkimi producentami węgla.

Wpływ konkurencji innych źródeł energii na zużycie węgla jest oczywiście bardzo niejednorodny. W przeciwstawieniu do Europy, w Stanach Zjednoczonych zaznaczał się on bardzo silnie na długo przed ostatnią wojną. Już w 1937 r. według obliczeń ONZ paliwa stałe pokrywały tam zaledwie 56 proc. ogólnego bilansu energetycznego; dziś udział ich nie przekracza 1/3. Paliwa płynne wdarły się w najbardziej tradycyjne domeny zbytu węgla, eliminując go niekiedy całkowicie. Tak więc np. zużycie kości, które jeszcze w 1946 r. stanowiło 23 proc. zbytu krajowego węgla, spadło w ostatnich latach poniżej 5 proc. i niebawem zniknie zupełnie. Podobny proces, aczkolwiek nie w równie radykalnym stopniu, obserwować można również w Europie, gdzie koleje przechodzą bądź na ropę naftową, bądź na trąbkę elektryczną, przy czym energię elektryczną niejednokrotnie pochodzenia wodnego. Zachodzą jednak pod tym względem duże różnice pomiędzy poszczególnymi krajami.

Biorąc Europę jako całość — ale bez europejskiej części ZSRR, która sama produkuje wielkie ilości ropy — pozycja węgla jest tu wciąż jeszcze silna. Udział jego w spożyciu europejskim na cele energetyczne, według wspomnianych obliczeń jednej z komisji ONZ, wyniósł w 1950 r. 81,3 proc. w porównaniu z 87,2 proc. w 1937 r. Ten jeszcze stosunkowo nieznaczny spadek udziału węgla pogłębił się nie-

DOKOŃCZENIE NA STR. 3

UWAGA nowa wersja funduszu zakładowego

Bodźce ekonomiczne i zasady ich kształtowania — to przedmiot gorących dyskusji, od dłuższego czasu prowadzonych na wszystkich szczeblach zarządzania naszą gospodarką.

Wprawdzie i dawniej podkreślano wagę bodźców ekonomicznych, ale zazwyczaj nie były one właściwie ustawione. Głównym celem, jakim miały osiągnąć, było wykonanie i przekroczenie ilościowych planów produkcyjnych. Nie jest tajemnicą, że uzależnienie wszelkiego rodzaju premii od stopnia wykonania planów produkcyjnych spowodowało wiele szkód w naszej gospodarce — w postaci systematycznego zanizania planów, wytwarzania bez względu na koszty, bez względu na jakość i przydatność wyprodukowanych wyrobów itd. itp.

Ostatnio idea bodźców ekonomicznych przeżywa renesans, przy czym niemal wszyscy zgodnie stwierdzają, że — poza placami — powinny one być przede wszystkim uzależnione od zysku. Problem polega „tylko” na tym — jak to zrobić?

Ustawę o funduszu zakładowym z dn. 19 listopada 1956 r. Sejm przyjął z wyrażeniem zastrzeżenia, że działać będzie tylko przez rok 1957, gdyż nie uznał zasad w niej zawartych za słuszne na dłuższy okres czasu, dając wyraźną wskazówkę zwiększenia roli bodźców opartych na udziale w zyskach. Ministerstwo Finansów opracowało obecnie projekt ustawy o funduszu zakładowym na rok 1958 i odpowiedni projekt rozporządzenia wykonawczego Rady Ministrów. Odpowiedź na pytanie — czy nowy projekt czyni zadość postulatowi wzmożenia bodźców związanych z wynikami finansowymi przedsiębiorstw — ma dzisiaj szczególne znaczenie wobec spodziewanych dalszych kroków ku stworzeniu nowego modelu gospodarki socjalistycznej w Polsce.

Metoda tworzenia funduszu zakładowego — a według tego projektu — w istotny sposób różni się od dotychczas stosowanej. W roku bieżącym fundusz zakładowy tworzy się w wysokości 1,5 proc. funduszu plac pod warunkiem wykonania planu produkcji plus pewna część zysku ponadplanowego (w zasadzie 50 proc.).

Projektowane zasady tworzenia funduszu zakładowego na rok 1958 zwracają z wzięciem funduszu z wskaźnikami planowymi, zwłaszcza z wskaźnikami ilościowymi planów

produkcyjnych. Stawka odpisu na fundusz zakładowy kształtuje się na podstawie wyników roku ubiegłego, a wysokość funduszu różni, w zależności od poprawy wyników. Chodzi tu przy tym o wyniki finansowe, z tym że wyjątkiem (tzw. przedsiębiorstw planowo - deficytowych). W ten sposób projekt spełnia postulat wysunięty w tezach modelowych Rady Ekonomicznej, że jednym z założeń systemu bodźców ekonomicznych powinno być „odejście od praktyki generalnego wiązania bodźców ekonomicznych z wskaźnikami zadań planowych”. Jest to bodaj najważniejsza zaleta nowego projektu Ministerstwa Finansów.

Autorzy projektu wykazali ambicję rozwiązania kilku trudnych problemów. Tak np. próbują rozwiązać wieczny dyalekt przedsiębiorstw „planowo-nierentownych”, formułując zasadę, że „w przedsiębiorstwie, w którym plan finansowy przewidywał stratę — podstawę ustalania wysokości funduszu zakładowego stanowi suma odpowiadająca 3 proc. wartości sprzedanej produkcji”, przy czym podstawę tę „powiększa się o sumę uzyskanej przez przedsiębiorstwo obniżki kosztów własnych w stosunku do roku ubiegłego”. Chodzi o wybrnięcie z sytuacji, w której wzrost produkcji powiększa stratę przedsiębiorstwa „planowo - deficytowego”. Czy rozwiązanie to jest trafne? Trudno powiedzieć, chociaż na pierwszy rzut oka wydaje się, że moment ekonomiczny usunięty tu został w części przez wartość produkcji. Ale przedsiębiorstwa „planowo - deficytowe” — to naprawdę orzech trudny do zgryzienia i skonstruowanie dla nich racjonalnego systemu bodźców jest, jak się wydaje, sprzecznością w samym założeniu.

Ważniejszym, bo bardziej generalnym, elementem nowego projektu są jednak zasady tworzenia funduszu zakładowego w „normalnych”, tj. rentownych przedsiębiorstwach.

Odpis na fundusz zakładowy nie może być ustalany w procentach od absolutnej sumy zysku, gdyż obiektywne warunki rentowności są w różnych gałęziach bardzo różne. Gdyby np. powiedzieć, że na fundusz zakładowy przeznaczają się 20 proc. zysku, to równy absolutnie zysk dałby w różnych przedsiębiorstwach zupełnie odmienną wysokość funduszu zakładowego na 1 zatrudnionego. Trudno się spodzie-

wać, aby najdoskonalszy nawet system cen całkowicie wyrównał obiektywne warunki rentowności na 1 zatrudnionego. Dlatego też zasady tworzenia funduszu muszą być tak skonstruowane, aby niwelowały (przynajmniej w ogólnych zarysach) nieuzasadnione różnice. W dotychczasowym systemie rolę „niwelatora” pełnił wskaźnik zysku planowego. Jak jednak rozwiązać sprawę przy słusznym skądinąd odejściu od wiązania bodźców z wskaźnikami planowymi?

W artykule pt. „Próba konstrukcji systemu bodźców z zysku” W. Brus wysnuł koncepcję ustalania proporcji podziału zysku między państwo a przedsiębiorstwo nie na podstawie absolutnej wielkości zysku, lecz na podstawie wielkości wyrażającej stosunek zysku do funduszu plac. Projekt Ministerstwa Finansów opiera się na tej samej zasadzie z tą formalną różnicą, że podczas gdy Brus określał (w formie opodatkowania) udział państwa, a przedsiębiorstwo miało otrzymać „resztę” — to projekt Ministerstwa Finansów odwraca sprawę, określając udział przedsiębiorstwa. W art. 5 projektu czytamy, że „stosunek procentowy (funduszu zakładowego do zysku na 1958 r.) ustala się w takiej wysokości, w jakiej pozostaje 5 proc. zarobkowego w 1957 r. osobowego funduszu plac do... sumy faktycznie osiągniętego w 1957 r. zysku, a jeżeli zysk ten jest niższy od sumy zysku planowanego na rok 1957 — do sumy zysku planowanego na rok 1957”. Mamy tu więc ten sam wzór na obliczenie odpisu na fundusz za-

kladowy $(a \cdot \frac{y}{m})$, z tym, że Ministerstwo ustala konkretnie $a=5\%$. Jeśli np. w 1957 r. zysk przedsiębiorstwa wynosił 1 000 000 zł, a fundusz plac 5 000 000 zł, to odpis na fundusz zakładowy w 1958 r. wyniósłby 25% zysku $(5 \cdot \frac{1 000 000}{4 000 000})$.

Do tego momentu trudno, wydaje się, zgłaszać zastrzeżenia. Wątpliwości zaczynają się dopiero w związku z metodą zastosowaną tak ustalonej procentowej stawki odpisu. Projekt Ministerstwa Finansów przewiduje zastosowanie stawki do całego zysku osiągniętego w 1958 r.: jeśli zysk w 1958 r. wyniesie 1 200 000 zł — fundusz zakładowy wyniesie 300 000 zł (25 proc. całej sumy), jeśli 1 300 000 zł — 325 000 zł itd. Projekt opiera się więc na zasadzie zwykłego udziału w sumie

zysku bez szczególnego uwzględnienia przyczyn zysku, podczas gdy wnioski Brusa idą w kierunku silnego preferowania przystosowania (stawka procentowa odpisu odnosi się tylko do zysku w wysokości równej sumie zysku roku ubiegłego, natomiast w przyszłości ponad tę sumę przedsiębiorstwo uczestniczy w znacznie silniejszym stopniu). Trzeba podkreślić, że w obecnie obowiązującej ustawie przystosowanie jest faktycznie „uprzywilejowane” w formie większego udziału w zysku ponad planowy. Forma zysku ponadplanowego jest zła — należy ją odrzucić, ale czy razem z nią trzeba wyrzucić za burtę ideę opierania bodźców z zysku w znacznym stopniu na przystosowaniu? Stanowczo — nie! Nieuwzględnienie czynnika przystosowania oznacza praktycznie — jak tego nie raz już dowodzono — „pożeranie” bodźców opartych na zysku.

Nie tu miejsce na teoretyczne uzasadnianie walorów przystosowania jako podstawy bodźców. Spójrzmy jednak, jakie konsekwencje praktyczne spowodowałyby przyjęcie projektu Ministerstwa w stosunku do propozycji „przystosowanych”.

Bierzemy dane wyjściowe z poprzedniego przykładu (zysk w 1957 r. = 1 000 000 zł, fundusz plac = 5 000 000 zł), przyjmujemy współczynnik a według projektu Ministerstwa (5 proc.) i zakładamy, że zysk w 1958 r. wzrósł o 20 proc. (wyniesie więc 1 200 000 zł) przy niezmienionym funduszu plac.

Według projektu Ministerstwa Finansów fundusz zakładowy na 1958 r. obliczony na podstawie tych elementów, wyniósłby 25 proc. od 1 200 000 zł czyli 300 000 zł. Natomiast przy zastosowaniu zasady, że stawka odpisu odnosi się tylko do wysokości zysku równej sumie zysku z roku ubiegłego, a przystosowanie w całości przypada przedsiębiorstwu, fundusz zakładowy wyniósłby 450 000 zł (25 proc. od 1 800 000 zł plus 200 000 zł przystosowania). Przy zmienionym nieco założeniu (przedsiębiorstwo uzyskuje nie cały, lecz np. 80 proc. rocznego przystosowania — fundusz zakładowy wyniósłby 410 000 zł).

Przyjęcie projektu Ministerstwa idzie w kierunku silnego ograniczenia wielkości funduszu zakładowego. Załoga mogłaby wygospodarować w 1958 r. pełną 13-ty pensję pod warunkiem, że osiągnęłaby w ciągu tego roku, przy niezmienionym funduszu plac (a więc bez

zysku) wzrost zatrudnienia, zysk większy niż 70 proc. od zysku 1957 r. Dopiero bowiem, gdy zysk osiągnąłby 1 700 000 zł — fundusz zakładowy mógłby wynieść 435 000 zł, co równa się 8,5 proc. funduszu plac 5 000 000 zł, a więc daje „13-ty pensję”. W dodatku w projekcie można o funduszu zakładowym jako całości, który ma wystarczyć nie tylko na indywidualne wypłaty z tytułu udziału w zyskach, lecz także na wydatki socjalno - kulturalne, mieszkaniowe itp.

Przy tak drakońskim obniżeniu warunków uzyskania funduszu zakładowego autorzy projektu nie zdobyli się nawet na platoniczny zysk zniszczenia górnej granicy wypłat. Słynny „pułap” zostaje zachowany w całej rozciągłości w postaci przepisu (w art. 8), że „łączna kwota wypłat na nagrody pracowników oraz na inne cele związane z ich potrzebami nie może przekraczać 8,5 proc. planowanego osobowego funduszu plac”. Poza niezmienionymi wyjątkami limit ten nie miałby dla przedsiębiorstw żadnego znaczenia jako nieosiągalny. Ale sam fakt pozostawienia go w projekcie jest bardzo charakterystyczny.

Sprawa tworzenia funduszu zakładowego odgrywa rolę centralną. Z tego właśnie punktu widzenia projekt, jak się wydaje, nie spełnia oczekiwań. Dalsza dyskusja, która musi się rozwinąć, wykaże czy ocena nasza jest słuszna.

Na zakończenie jeszcze jedna uwaga. Ani w projekcie ustawy, ani w projekcie rozporządzenia Rady Ministrów nie ma żadnej wzmianki o radach robotniczych. Ustęp 1 paragrafu 8 projektu rozporządzenia Rady Ministrów mgliście stwierdza, że „podstawę do dokonywania wydatków ze środków funduszu zakładowego stanowią odpowiednie preliminarze, zatwierdzone przez załogę przedsiębiorstwa lub jej przedstawicieli”. W ustępie 2 tegoż paragrafu czytamy: „Środkami funduszu zakładowego dysponuje dyrektor przedsiębiorstwa w oparciu o zatwierdzone preliminarze, w porozumieniu z radą zakładową”. Wreszcie ostatnie zdanie: „Z wykonania preliminarza dyrektor składa załozę obszerne sprawozdanie”.

Ciekawe, czy wykarczowanie pojęcia „rada robotnicza” z tekstu jest po prostu niedopatrzieniem redakcyjnym?

DOKOŃCZENIE NA STR. 2

B. F.

REFORMA CEN BEZ WSTRZĄSÓW

(DOKONCZENIE ZE STR. 1)

tu wpływałyby na powstanie w pośredniczących przedsiębiorstwach obrotu tzw. rachunku różnic cen, którego wyniki byłyby rozliczane bieżąco z budżetem.

System ten znany jest w naszej praktyce gospodarczej jeszcze z okresu istnienia branżowych biur sprzedaży, prowadzących sprzedaż wytworów poszczególnych gałęzi produkcji i organizujących rozrachunek na zasadach wyżej opisanych. Nowością w naszym obecnym przejściowym systemie organizacyjnym byłby zespół bodźców materialnego zainteresowania przedsiębiorstw obrotu w maksymalizacji funduszu różnic cen (przy stabilności zaawansowanych odgórnie cen zbytu), jako przeciwwagi dla rodzących się w przemyśle tendencji do maksymalizacji zysku poprzez nacisk na ceny. Wprowadzenie takich bodźców stanowiłoby zasadniczą różnicę w stosunku do dawnych, formalnych tylko funkcji rozliczeniowych, brakujących w ówczesnych biurach sprzedaży jako uciążliwych czynności dodatkowych.

Konsekwencją przyjęcia zasady cen rozliczeniowych byłoby: — ograniczenie planowanej rentowności przedsiębiorstw do rozmiarów zapewniających przedsiębiorstwom pracującym w różnych warunkach możliwość jednolity start w walce o przyszły wzrost rentowności.

— przekształcenie dotychczasowych administracyjnych ośrodków zbytu w przedsiębiorstwa pośrednictwa handlowego, działające na zasadach rozrachunku gospodarczego.

— zapewnienie maksymalnego wykorzystania przez przedsiębiorstwa obrotu najtańszych źródeł dostaw i wytwarzania nacisku (przez ograniczanie lokaty zamówień) na przedsiębiorstwa produkujące droższe, zmuszając je do szukania dróg obniżki kosztów.

— Aby zapewnić wykorzystanie najtańszych źródeł dostaw i najkrótszej drogi przewozu należałoby ustalić warunki dostaw loco magazyn wytwórcy, w stosunku do rozliczeń z przedsiębiorstwem obrotu, zaś franko stacją przeznaczenia — w sprzedaży realizowanej przez przedsiębiorstwo obrotu. Całość kosztów transportu obciążałaby zatem monopolistyczne przedsiębiorstwa pośrednictwa handlowego, co przy wytworzeniu — poprzez właściwy system bodźców — zainteresowania w obniżce kosztów obrotu, zapewniłoby dysponowanie dostaw ze źródeł najtańszych i najbliższych nabywców położeń.

Z tym systemem wiąże się konieczność utrzymania przez pewien jeszcze okres tak bardzo — i szkodliwie z punktu widzenia ekonomii obrotu — krytykowanego scentralizowanego aparatu zbytu i hurtu.

III.

Nadmierzna centralizacja i wieloszczebelowość pośrednictwa, jak również biurokracja i zrużniczenie aparatu obrotu, a szczególnie jego ogniw budżetowych — uzasadnia postulat daleko idącej reorganizacji. Jednak w chwili obecnej nie należałoby zaprzeczać możliwości wykorzystania niektórych, odpowiednio zrekonstruowanych ogniw tego aparatu, do celów reformy cen. Aparat ten bowiem, właśnie w jego obecnej formie, nadaje się do oparcia na nim nowego przejściowego systemu rozliczeniowego. Nie wyklucza to rzecz jasna możliwości kontynuowania zapoczątkowanej akcji likwidowania zbędnych ogniw pośredniczących w dostawach. Likwidacja podwójnych a nawet potrójnych ogniw pośredniczących, pozwoli na dokonanie znacznych usprawnień i oszczędności, zaś tam gdzie dotychczasowe pośrednictwo nie było oparte na rozrachunku i miało charakter administracyjny, decentralizacja i ograniczenie administracyjnych form reglamentacji obrotu pozwoli na wprowadzenie nowego systemu rozliczeniowego bez dodatkowych kosztów.

Należałoby dlatego przed ustaleniem nowej struktury organizacyjnej tego aparatu podjąć decyzję o formach przejścia do nowego systemu cen i ewentualnego wykorzystania aparatu obrotu w tej dziedzinie, aby uniknąć błędów i ewentualnej konieczności cofnięcia się na dalszych etapach realizacji zapoczątkowanych reform gospodarczych. Formy pośrednictwa handlowego, które w przejściowym okresie decydować będą również w znacznym stopniu o założeniach systemu finansowego, nie mogą być jednolite dla wszystkich gałęzi wytwórczości. Należałoby jednocześnie dążyć do powiązania założeń organizacyjnych aparatu obrotu z przewidywanymi nowymi formami zarządzania przemysłem. I tak wydaje się, że:

— Co najmniej trzy podstawowe gałęzie przemysłu ciężkiego mogłyby wykorzystywać w tym celu posiadane biura statystyczne, oparte na systemie elektrycznych maszyn statystycznych. Przy niewielkim uzupełnieniu posiadanego wyposażenia byłoby tu możliwe skoncentrowanie i zmierzanie refaktury części i rozliczeń z dostawcami i odbiorcami oraz z rachunkiem różnic cen. W tych gałęziach przemysłu ciężkiego konieczne będzie zapewne również i z innych przyczyn utrzymanie formy scentralizowanego zbytu w ramach nowej organizacji zarządzania gospodarką. A za-

tem proponowany system stworzyłby jednocześnie możliwość zastąpienia dotychczasowych jednostek typu administracyjnego przez operatywne jednostki zbytu, pozostawiające na rozrachunku gospodarczym. Wobec znacznego ograniczenia sprawozdawczości byłoby prawdopodobnie również możliwe wykorzystanie (w formie odpłatnej działalności usługowej) wolnego potencjału maszyn statystycznych GUS dla celów ewidencji obrotu i analizy poziomu cen i różnic cen dla niektórych kluczowych organizacji zbytu, mających siedzibę w Warszawie.

— W obrocie zaopatrzeniowym produktami masowymi uznaje się na ogół wyższość zdecentralizowanego obrotu rejonowego (realizowanego przez terenowe przedsiębiorstwa obrotu) nad obrotem organizowanym przez jednostki centralne. Na tym odcinku branżowym byłoby zatem możliwe przyjęcie formy zdecentralizowanego rozrachunku z funduszem różnic cen, z tym, że centralne handlowe, w skład których wchodziłyby terenowe przedsiębiorstwa obrotu, prowadziłyby zbiorczą ewidencję dla władz centralnych w oparciu o dane z przedsiębiorstw. Ta forma organizacji obrotu pozwoliłaby jednocześnie na przejście w dalszej perspektywie do wolnego wyboru dostawcy przez terenowe przedsiębiorstwa obrotu i stworzenie, w miarę likwidacji deficytów towarowych, warunków konkurencji.

— W obrocie rynkowym przejściowe utrzymanie monopolu hurtu w zaopatrzeniu przedsiębiorstw handlu detalicznego pozwoliłoby również na analogiczne stosowanie powyższych zasad.

— Rozwijając się formy tranzytu, jako bardzo ekonomiczne formy dostaw, wymagałyby przyjęcia przejściowo zasad tranzytu rozliczanego.

— Poza opisanym systemem można by pozostawić dostawę wyrobów nietypowych, organizowaną w formie bezpośredniej kooperacji międzyzakładowej. Przyjęcie dla tej grupy wyrobów zasady ustalania cen zbytu na poziomie cen fabrycznych eliminuje potrzebę włączenia ogniw pośredniczących w organizowaniu dostaw.

IV.

Przyjęcie systemu cen rozliczeniowych w przemyśle i funduszu różnic cen w aparacie obrotu oznacza przeniesienie realizacji akumulacji, realizowanej dotychczas w przemyśle w formie podziału obrotowego aparatu zbytu i hurtu.

owego, do sfery obrotu. Przyjęcie tej tezy nasuwa — jak wynika z dotychczasowej dyskusji — wiele zastrzeżeń. Dlatego należałoby przypomnieć wysuniętą również w dyskusji koncepcję przekształcenia systemu realizacji akumulacji — pieniężnej przez oprocentowanie środków trwałych i obrotowych funkcjonujących w przemyśle i przyjęcie tej formy jako podstawowego sposobu odprowadzania akumulacji do budżetu. Również wysunięta ostatnio na łamach „Życia Gospodarczego” (nr 21 — 57) przez H. Fiszla koncepcja rehabilitacji renty gruntowej i ceny ziemi miałyby analogiczny skutek, powodując poważne, ekonomicznie celowe i jak najbardziej słuszne, zmiany w strukturze cen i przenosząc jednocześnie znaczną część akumulacji, realizowanej dotychczas w przemyśle przetwórczym, do gałęzi przemysłu surowcowego.

Przeprowadzenie tak znacznych przesunięć w systemie cen i rozliczeń z budżetem wiąże się z szeregiem bardzo poważnych praktycznych trudności. Przyjęcie zasady cen rozliczeniowych i stworzenie z przedsiębiorstw obrotu akumulatorów różnic cen, a więc podstawowych (przynajmniej) w początkowym okresie) przekształć akumulacji wypracowanej w przemyśle do budżetu, powinno znacznie ułatwić te przesunięcia organizacyjne. Na dalszym etapie, w miarę rozwoju form oprocentowania środków i przywracania do życia kategorii renty gruntowej „wysychać” będą rachunki różnic cen poszczególnych branżowych przedsiębiorstw obrotu, z możliwością powstania nawet przejściowych deficytów i konieczności dotowania tych przedsiębiorstw z budżetu.

Branżowy zakres działania przedsiębiorstw obrotu, zbywających wytwory wszystkich przedsiębiorstw przemysłowych niezależnie od ich obecnej administracyjnej przynależności, pozwoli na stworzenie warunków bieżącej oceny poziomu rentowności w powiązaniu z konkretną masą towarową, a więc sumą cen towarów stanowiących przedmiot obrotu. Oderwanie zaś na okres przejściowy realizacji akumulacji od przedsiębiorstw przemysłowych i przeniesienie tej realizacji do sfery obrotu ułatwi równocześnie reorganizację zarządzania przemysłem, polegającą na tworzeniu w miejsce dotychczasowych centralnych zarządów opartych na kryteriach wyłącznie branżowych, organizacji typu koncernu pionowego lub branżowo-terenowego, w

zależności od konkretnych warunków ekonomicznych, istniejących w różnych gałęziach produkcji.

Istotą projektowanych założeń jest bowiem stworzenie takich form przejściowych, które zapewniłyby swobodne manewrowanie i przeprowadzanie zmian w systemie zarządzania przemysłem i w systemie oddziaływania na produkcję poprzez zespół bodźców ekonomicznych, z powierzeniem na ten czas aparatowi obrotu zadania zagwarantowania bieżącego odprowadzania maksymalnej akumulacji poprzez rachunek różnic cen do budżetu. Wszystko to — przy jednocześnie utrzymaniu znacznej stabilności cen rynkowych.

V.

W miarę przesuwania realizacji akumulacji na nową podstawową formę oprocentowania środków zaangażowanych w przemyśle (w tym również oprocentowania z tytułu

użytkowania ziemi i jej bogactw naturalnych) utworzony w aparacie obrotu fundusz różnic cen podlegałby, jak to już podkreślono wyżej, znacznym ograniczeniom i zostałaby w końcu sprowadzony, w ramach ostatecznej regulacji cen, do niewielkich rozmiarów (o ile polityka cen rynkowych nie stawiałaby innych wymogów, np. polityka wysokich cen w celu ograniczenia stosowania rzadkich surowców). W ten sposób szczytkowe formy rachunku różnic cen można by ostatecznie przekształcić w normalny zysk przedsiębiorstw handlowych, podlegający analogicznemu udziałowi jak zysk w przemyśle, na część pozostającą w przedsiębiorstwie dla uruchomienia bodźców materialnego zainteresowania pracowników i część odprowadzaną do budżetu.

Odpowiednie oprocentowanie środków zaangażowanych w obrocie i właściwe ustalenie taryf przewozowych wpływałoby na ograni-

czenie zysku przedsiębiorstw handlowych do rozmiarów odpowiadających faktyczną ich gospodarności i dbałości o realizację zaopatrzenia ze źródeł najbliższych i najtańszych.

Na tym końcowym etapie organizacyjnym należałoby znieść administracyjne zapewnienie monopolu pośrednictwa przedsiębiorstw obrotu hurtowego. Można się spodziewać, że taniejsi i przydatniejsi usług handlowych świadczonych przez przedsiębiorstwa obrotu mogłyby zapewnić im w wielu wypadkach utrzymanie wyłączności sprzedaży wyrobów określonej branży, czyli stworzyć warunki stałego reprezentowania określonej grupy producentów na rynku.

Niektóre przedsiębiorstwa obrotu, a szczególnie działające w pewnych gałęziach przemysłu ciężkiego przedsiębiorstwa centralne, można by przekazać (po ewentualnym przysposobieniu ich branżowego zakresu działania do aktualnej wówczas struktury przemysłu) nowym zwierzchnim organizacjom przemysłu, które od tej pory koncentrowałyby w swym ręku całokształt spraw produkcji, zaopatrzenia i zbytu.

BOLESŁAW WARZECHA

MATERIAŁY LICZBOWE DO PLANU 5-LETNIEGO

PRODUKCJA GŁÓWNYCH WYROBÓW PRZEMYSŁOWYCH *)

Wyszczególnienie	Jednostka miary	1955 wykonanie	1956 wykonanie	1957		1958	1959	1960	Wskaźnik 1960 — 1955
				NPG	przewidywane wykonanie				
1	2	3	4	5	6	7	8	9	10
Energia elektryczna . . .	mln kWh	17 751	19 492	21 350	21 350	23 200	25 700	28 300	130,4
Węgiel kamienny . . .	tys. ton	94 476	95 149	93 000	94 000	95 000	99 000	105 000	111,1
Węgiel brunatny . . .	" "	6 045	6 183	6 400	6 150	8 850	10 000	11 850	196,0
Koks . . .	" "	10 036	10 510	10 738	10 873	11 120	11 430	11 824	117,9
Rudy żelaza . . .	" "	1 682	1 792	1 902	1 902	2 395	2 715	2 885	169,6
Surowica . . .	" "	3 112	3 506	3 740	3 740	4 150	4 650	5 120	161,5
Stal surowa . . .	" "	4 427	5 014	5 370	5 500	5 800	6 300	7 000	158,1
Wyroby walcowane gotowe . . .	" "	2 825	3 309	3 533	3 637	3 810	4 100	4 640	158,6
Rudy cynkowo-olowiowe . .	" "	2 378	2 205	2 145	2 150	2 350	2 500	2 530	106,4
Ruda miedzi . . .	" "	1 006	1 203	1 281	1 280	1 465	1 830	2 050	203,8
Aluminiów hutnicze . . .	" "	20,4	21,8	18,8	20,0	22,6	22,6	23,0	112,7
Cynk . . .	" "	156,2	133,3	150,5	156,5	160,0	167,5	175,0	112,0
Miedź elektrolityczna . .	" "	15,7	20,3	21,1	21,1	20,1	20,1	20,1	128,0

*) Materiały liczbowe opracowane przez Komisję Planowania.

Plan wydobycia węgla kamiennego w latach 1956—1960 stanowi jedno z trudniejszych zadań pięcioletniej. Rzeczywista zdolność produkcyjna przemysłu węglowego — w ramach normalnych dni roboczych — szacuje się na: 92—93 mln ton w 1958 r., 94—95 mln ton w 1959 r. i 102—103 mln ton w 1960 r., a więc znacznie poniżej zaplanowanego poziomu. Napięcie wskaźników planu podjętowane zostało koniecznością zwiększenia eksportu węgla. Na eksport przeznaczono: 14,7 mln ton w 1958 r. (w przybliżeniu na poziomie 1957 r.), 15,5 mln ton w 1959 r. i 17,1 mln ton w 1960 r. Wykonanie planu wydobycia węgla stawia wymagania dotychczasowego systemu pracy w kopalniach. Od 1958 r. zniesiona będzie praca w niedzielę. By podnieść wydobycie węgla do zaplanowanej wielkości, niezbędne będzie zwiększenie zatrudnienia w kopalniach.

MARŻE A RENTOWNOŚĆ HANDLU

HENRYK DEFEE

Ustawienie marż handlowych w prawidłowej wysokości jest w obecnej chwili z punktu widzenia praktyki gospodarczej kapitalnym problemem. Sądzę, że nie potrzebuje cytować z Biuletynu PKPG Nr 3 z 7.2.1956 r. dość długich wykazów obowiązujących marż przy sprzedaży poszczególnych asortymentów towarów. Wystarczy bowiem szybko rzucić okiem na te wykazy, by można było wysunąć trafny wniosek, że obowiązujące obecnie marże handlowe dla przedsiębiorstw detalicznych są bardzo niskie. Żadna organizacja handlowa na świecie, pracująca oczywiście na zasadach ekonomicznych, nie podjęłaby się organizacji sprzedaży np. jaj przy obowiązującej marży 4 gr od sztuki. Nie podjęłaby się dlatego, że handel tym artykułem przy obowiązkowym zwrocie opakowań, przy skomplikowanej i pracochłonnej technice zgłaszania reklamacji za wady jakościowe jest wybitnie deficytowy.

Deficytowy jest u nas również handel szeregiem innych towarów. Przedsiębiorstwa handlowe sprzedają te towary i to niejednokrotnie w poważnych ilościach, bijąc się nawet o dodatkowe ich przydziały jedynie dlatego, że obowiązujący dotychczas system premiovania pracowników administracji handlowej, jak i system prowizyjnego wynagradzania pracowników sklepowych, bierze pod uwagę tylko i wyłącznie wartość uzyskanych obrotów.

Wysokość marży uzależniona jest od struktury obrotów. W przedsiębiorstwach prowadzących artykuły spożywcze i przemysłowe (np. spółdzielnie spożywców) waha się ona w granicach od 6,72% do 7,40% w stosunku do wartości obrotów.

Ta dość wysoka rozpiętość w wypracowaniu wskaźnika marży uzależniona jest w szczególności od rozmiarów sprzedaży artykułów spożywczych w stosunku do przemysłowych. Nie ulega żadnej kwestii, że poważny wpływ na ten wskaźnik posiada udział poszczególnych asortymentów także w grupie artykułów spożywczych jak i przemysłowych, z tego względu, że występuje wysoka rozpiętość marż przy sprzedaży różnych towarów (np. alkohol i waczywa).

Podstawowe zadanie ekonomiczne, przed jakim obecnie stoi handel, to zagadnienie wypracowania wyższych marż handlowych. Uzyskanie wyższych marż handlowych — to ekonomiczna konieczność, bez pożytywnego rozwiązania której w bieżącym roku mogą wystąpić poważne trudności w utrzymaniu handlu detalicznego na zasadach rentowności. (O tych przyczynach będę mówił jeszcze później). Czy są możliwości zwiększenia wskaźnika marż handlowych przez same przedsiębiorstwa detaliczne. Postaram się ten postulat przedstawić w krótkim rozprawie z tego względu, że niełatwa sytuacja gospodarcza zmusza nas do szukania i ujawniania własnych ukrytych rezerw.

Wspomniałem wyżej, że wysokość wypracowanej marży handlowej uzależniona jest od struktury obrotów. A więc bieżąca analiza zakupów towarów pod kątem wysokości marży handlowej może w pewnym stopniu podnieść wskaźnik marży. Oczywiście, dać to może tylko pewne, ściśle określone wyniki, uwarunkowane ogólnym zarządzeniem o wysokościach obowiązujących marż handlowych.

Daleko większe możliwości zwiększenia marż handlowych mogą przedsiębiorstwa handlowe uzyskać drogą utrzymania bezpośrednich kontaktów z zakładami przemysłowymi. Kontakt ten, jak na razie, jest jeszcze w sferze dyskusji i do praktycznej jego realizacji, o ile nadal będzie posuwał się takim tempem, droga jest jeszcze bardzo daleka. Co stoi temu na przeszkodzie?

Zakłady produkcyjne zobowiązane są odprężać swoją produkcję po cenach zbytu. Do niedawna uprawnieniami do odbioru całej produkcji poszczególnych zakładów produkcyjnych były branżowe hurtownie. Dzisiaj wprawdzie zarządzenia, zakazujące utrzymywania bezpośrednich kontaktów detalu z produkcją nie są ściśle przestrzegane, lecz wchodzić inne przesłanki ekonomiczne, które kontakty te utrudniają.

Jedną z nich są marże hurtowe (różnica między ceną zbytu a ceną hurtową). W zasadzie bezpośredni kontakt handlu detalicznego

z zakładami produkcyjnymi może w obecnym czasie być utrzymywany tylko poprzez branżową hurtownię, zlecającą zakładom produkcyjnym drogą tranzytu dostawę określonej partii towarów do przedsiębiorstwa detalicznego. Hurtownia zlecająca wysyłkę partii towarów w drodze tranzytu organizowanego traci jednak automatycznie 80 proc. marży hurtowej, otrzymując jedynie 20 proc. za „wypisanie odpowiednich papierków”. 80 proc. marży hurtowej, to strata powołana, przy niektórych asortymentach towarów sięgająca kilku procent obrotu (np. przy cukierkach wynosi 3,5 proc. wartości zakupu). Ktoż to więc hurtownia zgodził się, przy występujących obecnie brakach towarowych, organizować dostawy tranzytowe i tracić poważny procent swych dochodów, wiedząc o tym, że nabywcom na ten towar zawsze znajdzie w swych magazynach. Owszem, bardzo chętnie godzą się hurtownie na wydawanie zleceń na odbiór towarów bezpośrednio z zakładów produkcyjnych, ale przy zastosowaniu tranzytu rozliczonego, przy którym — jak wiadomo — pełna marża hurtowa przypada w udziale tylko i wyłącznie przedsiębiorstwom hurtownemu. Debatę zaś w pogoni za wykonaniem planów niejednokrotnie z tej formy zaopatrzenia korzysta, ponosząc jednak dodatkowe, związane z tym koszty rozładunku, delegacji itd.

Ostatnio bowiem jedynie hurtownie WPHS wykazują pewne ożywienie i zainteresowanie tym problemem. Wyraża jednak w stopniu niedostatecznym. W ogóle nie starają się o organizację dostaw tranzytowych hurtownie artykułów przemysłowych. Przy hurcie przemysłowym czynnikami hamującymi rozwój dostaw tranzytowych oprócz wyżej podanych strat dużej części marży hurtowej, są przepiękne magazyny z towarami niechodliwymi. Utrzymanie bezpośredniego kontaktu hurtowni z odbiorcą detalicznym, to jednocześnie pozostawienie tych towarów nadal w magazynach bez perspektywy ich sprzedaży. Publiczną tajemnicą jest fakt, że mimo zakazów — przy towarach atrakcyjnych drogą tzw. związanej sprzedaży zawsze sprzedaje się pewną część towarów niechodliwych.

Przy obecnie obowiązującym systemie zachęć ekonomicznych pracownicy hurtu nie są zainteresowani w rozwijaniu tranzytowych form sprzedaży. Sądzę, że większość z nich zdaje sobie sprawę z tego, że dostawy tranzytowe to pierwszy poważny krok w kierunku eliminowania działalności hurtu w przyszłości. Wchodzą tutaj oprócz słusznych przesłanek ekonomicznych również „seksi stanowisk, z których, jak wiemy z praktyki, nie tak łatwo się ustępuje.

Przedsiębiorstwa detaliczne na zwiększenie marż detalicznych poprzez wykorzystanie dostaw tranzytowych nie bardzo mogą liczyć — przynajmniej w ciągu najbliższych lat — chyba że zostanie zmieniona struktura organizacyjna obecnie istniejących hurtowni.

Przynajmniej dla informacji należy podać, że obecnie poszczególne zakłady produkcyjne wyrażają chęć sprzedaży pewnych partii towarów bezpośrednio przedsiębiorstwom detalicznym, jednak po cenach hurtowych, zachowując jako by różnicę między ceną zbytu a ceną hurtową do dyspozycji rad robotniczych. Uważam, że stanowisko to jest niesłuszne, zakład produkcyjny wyrażający chęć sprzedaży towarów bezpośrednio odbiorcy zawsze powinien je odstępować po cenie zbytu.

Poruszyłem całą tę sprawę dość szeroko uważając, że droga nawiązywania bezpośrednich kontaktów z zakładami produkcyjnymi można wypracować pewne zwiększenie wskaźnika marż. Trzeba jednak stwierdzić, że nawet ten wypracowany wskaźnik marż przy wykorzystaniu wszystkich źródeł i możliwości będzie za niski, by zagwarantować prawidłowy rozwój przedsiębiorstw detalicznych oraz zwozić na wypracowanie zysku handlowego, którego podział i wykorzystanie powinno dokonywać się na tych samych zasadach, jakie określone zostały dla przemysłu.

Wydaje się przede wszystkim konieczne podwyższenie obowiązujących marż handlowych. Trudno powiedzieć, o ile. Wydaje się, że przynajmniej o 50 proc. Nie jest to sprawa łatwa, gdyż — jak ktoś dowcipnie zauważył — obok najniższych marż handlowych na świecie występują

u nas jednocześnie najwyższe koszty produkcji. A jak wiadomo, zwiększenie marż dla handlu wymaga jednej z dwóch operacji: zrezygnowania przez państwo z części płaconego przez przemysł podatku obrotowego lub obniżenia wskaźnika zysku produkcji. Jedna i druga droga nie jest łatwa. Nie ulega kwestii, że w ciągu najbliższych miesięcy marże muszą ulec zwiększeniu, gdyż w przeciwnym wypadku do tych 113 dyrektyj MHD, które w ubiegłym roku przyniosły 116 mln strat dojdzie więcej przedsiębiorstw o deficytowych wynikach (nie chcę przez to twierdzić, że straty w tych przedsiębiorstwach — to wina jedynie niskich marż).

Wydaje się również konieczne zwrócić uwagę, że wszystkie przedsiębiorstwa detaliczne w całej Polsce muszą korzystać z jednego systemu marż detalicznych. Nie można przecież tolerować takiego stanu, że jedynie zmiana sztytu z PSS na Miejską Spółdzielnię Zaopatrzenia i Zbytu automatycznie powoduje inny system marżowania. Dla udowodnienia tego absurdu ekonomicznego wystarczy tylko jeden przykład: PSS w Przemyślu z chwilą przejścia do planu CRS „Samopomoc Chłopska” z miejsca korzystająca z następujących dodatkowych marż handlowych:

przy zakupie tekstylii 4 proc., przy zakupie obuwia 4 proc., przy zakupie odzieży 4 proc. Ponowna zmiana sztytu i w efekcie niższa akumulacja w obrocie towarowym o około 500 000 zł. A ta pozycja coś już znaczy.

Używanie w obecnej chwili dla handlu wewnętrznego wyższych marż handlowych — to ekonomicznie konieczność. W przeciwnym bowiem wypadku rentowność przedsiębiorstw handlowych będzie w ciągu najbliższych lat problematyczna.

Liczenie jednak na zwiększenie marż handlowych bez jednoczesnego uporządkowania własnej gospodarki i wprowadzenia właściwej kontroli kosztów — to przy obecnej sytuacji gospodarczej Polski postępowanie niespójne. Dlatego też stawiając postulat o korekcie marż handlowych pracownicy handlu powinni ujawniać własne rezerwy. A tych ciągle jest niemało.

Wielomiliardowe zadłużenie

W USA

JAN WERNER

Departament Handlu Stanów Zjednoczonych ogłosił dane, dotyczące rozwoju zadłużenia w kraju. Ze sprawozdania tego wynika, że z końcem 1956 roku zadłużenie wewnętrzne w Stanach Zjednoczonych wyniosło ponad 800 miliardów dolarów. W obliczeniu uwzględniono zadłużenie prywatne, przedsiębiorstw, komunalne, stanowe i federalne. Ponieważ część długów są to zobowiązania jednych komórek państwowych wobec innych, albo niektórych korporacji wobec jednostek afiliowanych, wprowadzono poprawkę, ustalając zadłużenie netto na przełomie 1956 i 1957 r. na 684 miliardy dolarów. (Do końca czerwca br. zadłużenie to wzrosło o dalsze 3,7 mld. dol.).

Jeśli chodzi o dynamikę procesów zadłużenia, to trzeba w okresie powojennym "rozróżnić" dwa czynniki: w ciągu całej dekady 1946 — 1955 zadłużenie ogólnie i szybko wzrastało, natomiast w roku 1956 dają się zauważyć pewne zmiany: należą do nich zmniejszenie długu federalnego, przewaga wkładów oszczędnościowych prywatnych nad zadłużeniem konsumpcyjnym, zmniejszenie tempa zadłużenia krótkoterminowego przez korporacje wskutek polityki restrykcji kredytowych w ramach walki z inflacją itd.

W Stanach Zjednoczonych przykłada się szczególną uwagę do sytuacji w okresie ostatnich dwóch lat w związku z próbą oceny rządowej polityki, pragnącej pokierować procesami inflacyjnymi i w związku z przewidywaniami rozwoju sytuacji gospodarczej w okresie najbliższym.

Dane za ostatnie lata wykazują następujący przyrost zadłużenia:

1955 — 50 mld. dolarów
1956 — 28 mld. dolarów
1957 — 3,7 mld. dolarów w okresie pierwszych 6 miesięcy.

Trzeba jednak wziąć pod uwagę, że wzrost zadłużenia przypada z reguły na drugie półrocze, to też wyniki roku bieżącego nie są jeszcze miarodajne dla oceny sytuacji. Jeśli chodzi o dane dotyczące dłuższego okresu, to trzeba podać, że w ciągu ubiegłego dziesięciolecia zadłużenie wzrosło o 300 miliardów dolarów. W Stanach Zjednoczonych podkreśla się, że jeśli ogólne tempo nie zostanie zahamowane, to po upływie dalszych 10 lat długi wewnętrzne osiągną wysokość 1000 miliardów, czyli biliona dolarów.

W takiej sytuacji padają pytania, czy brzemień tego monstrualnego zadłużenia nie jest zbyt uciążliwe i niebezpieczne? Oczywiście trudno temu zaprzeczyć. Jeżeli jednak sytuacja nie jest krytyczna — tłumacząc niektórzy ekonomiści za Oceanem, — to po pierwsze dlatego, że większość obywateli i przedsiębiorstw jest zarówno dłużnikami, jak i wierzycielami, a płać procenty od długów, inkasując jednocześnie odsetki od wierzycielności, wkładów, oszczędności itp. Po drugie — panuje ogólna tendencja wzrostu dochodów i zysków, a odsetki od zadłużenia dla większości dłużników stanowią mniejszą część dochodów, niż to stanowiło w latach poprzednich. Należy przypomnieć, że jest to słuszne, jeżeli chodzi o kwoty nominalne, nawet nie uwzględniając postępującej dewaluacji.

Jeśli chodzi o wielkie korporacje, to koszty oprocentowania długów wynoszą obecnie proporcjonalnie o połowę mniej, niż w 1940 roku, a o 2/3 mniej, niż w 1929 r. Również obciążenie odsetkami kredytobiorców indywidualnych ma być obecnie mniejsze, niż w 1929 roku.

Mimo to zaniepokojenie w związku ze stanem zadłużenia istnieje, a jego źródła można szukać m. in. w braku zaufania do przyszłości. W społeczeństwie amerykańskim szeroko rozpowszechniony jest pogląd, że rozkwit i depresja, różnorodność w swym nateczeniu, są jednak nieuniknione, jak wschody i zachody słońca. Polemizując z tą opinią D. M. Kezzar w „Saturday Review” stawiał tezę, że historia nie musi się powtarzać i że wielomiliardowe środki przeznaczone na badania ekonomiczne pozwalają przewidywać koniunkturę i odpowiednio ją kształtować. Wbrew temu „U. S. News and World Report” przy okazji komentowania omawianego sprawozdania Departamentu Handlu stawia pytanie: „A co będzie w ciężkich czasach? Trudności będą się sumować i potęgować... Dlaczego? Chociażby z tego powodu, że raz rozpoczęty proces zalegania z płatnościami postawi w szczególnie trudnym położeniu tych, którzy chcieliby spłacić zobowiązania należnościami uzyskanymi. W tej sprawie, co jest określone, jako pomyślna i mocna pozycja w chwili obecnej — może spętać trudności w wyniku zmiany koniunktury. Zaostrezenie sytuacji może być jeszcze z tego względu bardzo groźne, że od dziesięciu lat datuje się w Stanach Zjednoczonych pęd do wydawania przyszłych dochodów. Wynikające być może z obawy przed inflacją, sam stał się jednym z czynników jej trwania.

Wspominaliśmy o polityce restrykcji kredytowych. Jakże są jej wyniki? Wielkie korporacje korzystały skwapliwie ze wszystkich możliwych źródeł, aby gromadzić środki na ekspansję gospodarczą. Od 1946 do 1955 roku zwiększyły one swe zadłużenie o 120 proc. do 208 miliardów dolarów. Jeśli jednak chodzi o kredyty krótkoterminowe, to restrykcje oddziaływały tutaj hamująco i zadłużenie z tego tytułu obciążając wielkie korporacje kwotą 111 miliardów dolarów, wzrosło w 1956 roku tylko o 4,4 mld. dol., podczas gdy w 1955 r.

wzrost ten wynosił 12 mld. dol. Wzrost kredytów długoterminowych natomiast, jakie zaciągały wielkie korporacje, wynosił w obu ubiegłych latach okragło po 26 mld. dol. i spadł bardzo nieznacznie. Znacznie mniejszy jest udział w kredytach przedsiębiorstw nie należących do wielkich korporacji. Wysokość zaciągniętych kredytów wynosi w tej grupie 12,4 mld. dolarów, a wzrost zadłużenia, wynoszący w 1955 r. 2 mld. dol., spadł w 1956 r. do 1 mld. dol.

Kredyty konsumpcyjne ludności, pięciokrotnie większe, niż przed dziesięcią laty, wynoszą obecnie 42 mld. dol., ale ostatnio tempo ich rozwoju spadło. W 1955 r. wzrost przekraczał 6 mld. dol., w 1956 r. nie przekroczył 3,2 mld. dol.

Zadłużenie farmerów, które wynosi ogółem 19,4 mld. dol., wykazuje utrzymujący się poziom zadłużenia hipotecznego, natomiast lekki spadek innych kredytów.

Utrzymać się również rosnąca tendencja w zakresie zadłużenia hipotecznego nieruchomości mieszkaniowych, wynoszącego obecnie 94 mld. dol. w budynkach mieszkalnych i 27,5 mld. dol. w lokalach i urządzeniach niezmonopolizowanego handlu.

Wspominaliśmy, że wkłady oszczędnościowe przekroczyły kredyty konsumpcyjne w grupie indywidualnej. Otóż w 1955 r. wkłady przekroczyły pożyczki o 5—6 mld. dol. Wkłady oszczędnościowe zostały wciągnięte do obrotu gospodarczego przez wielkie korporacje, które w ubiegłym roku zebrały z rynku pieniężnego i kapitałowego ogółem około 12 miliardów dolarów.

Nawiasem można dodać, że amerykańskie spółki akcyjne starają się usilnie o to, żeby ich akcje zakupowane były przez własny personel. Wydany w styczniu br. przez giełdę nowojorską przegląd pt. „Stock Ownership Plans for Employees” stwierdza, że o ile z końcem II wojny światowej tylko kilkanaście przedsiębiorstw amerykańskich rozprowadzało akcje wśród swych pracowników, to w ciągu ostatniego dziesięciolecia proceder ten objął 40 proc. spośród 1068 przedsiębiorstw, których akcje dopuszczone są do obrotu giełdowego. Chodzi zarówno o przedsiębiorstwa, zatrudniające po kilkadziesiąt tysięcy, jak i po kilkuset pracowników. Ostatnio przesłała polityka rządu Stanów Zjednoczonych stara się skierować stru-

mień pieniądza, płynący od pojedynczych ciułaczy, od obligacji państwowych ku zakupowi akcji, uważając to za jeden ze środków polityki antyinflacyjnej.

Na zakończenie jeszcze parę danych o stanie długu publicznego w Stanach Zjednoczonych. Tendencją bardzo w ubiegłym dziesięcioleciu wyraźną był wzrost zadłużenia stanowego i lokalnego. Długi poszczególnych Stanów wzrosły z 1,6 mld. dol. w 1946 r. do 10,8 mld. dol. w 1956 r., a zadłużenie lokalne wzrosło w tym samym okresie czasu z 12 do 32 mld. dolarów. Prejsja opinii, domagającej się zagęszczenia sieci szkolnej i jej unowocześnień i nacisk na inne inwestycje typu komunalnego powoduje opisane zjawisko.

Natomiast w chwili, gdy ogólne zadłużenie wewnętrzne osiągnęło swój najwyższy poziom, zmniejszyło się zadłużenie federalne, co prawda nie o wiele. Jednakże z 231,5 mld. dolarów spadło ono do 225,4 mld. dolarów. Mimo to, a także wbrew zwrotowi, zaznaczającemu się w niektórych innych dziedzinach, o czym wspomiano powyżej, zasadniczy zwrot nie został osiągnięty. Świadczy o tym fakt, że jeśli w latach 1946 — 1955 roczny przyrost długów wynosił 28,5 mld. dol., to w 1956 r. wyniósł on 34 mld. dol. Dla pełniejszej oceny sytuacji trzeba będzie poczekać co najmniej do końca 1957 roku, którego drugie półrocze będzie miało poważne znaczenie dla rozwoju sytuacji.

Niemiarodajny wskaźnik

DOKONCZENIE ZE STR. 1

wątpliwie bardziej w ostatnich latach, w związku z mocną koniunkturą w szeregu krajów kapitalistycznych i wynikającym stąd gwałtownym wzrostem zapotrzebowania paliwa na cele energetyczne. Wiadomo, że część tego przyrostu zapotrzebowania pokrywa wprawdzie również węgiel, ale już pochodzenia amerykańskiego. Natomiast w głównej mierze przyrost zapotrzebowania opiera się na importowanych paliwach płynnych, których Europa, poza ZSRR, produkuje tylko stosunkowo bardzo małe ilości oraz na lepszym wykorzystaniu zasobów energii wodnej, w dużym stopniu zresztą już dziś wykorzystanych.

Omawiając, przykład kolei należy stwierdzić, że wpływ konkurencji innych źródeł na rozmiar zużycia węgla jest bardzo nierówny. W krajach, które, jak Włochy, czy Szwecja, własnego węgla niemal nie posiadają, przejście na ropę naftową oznaczało tylko zamianę jednego rodzaju importowanego paliwa na drugi. Również Francja, która — mimo stosunkowo wysokiego własnego wydobycia węgla — była przed wojną jego największym w Europie importem, dziś w dużej mierze opiera się na ropie, którą musi importować, gdyż jej własne, późniejsze przygotowywane zasoby dotąd nie odgrywały większej roli.

Wielka Brytania i Niemcy, które do niedawna były wielkimi eksporterami paliw stałych, dotąd są pozornie wnieśli węgiel. Wskaźnik jego zużycia na głowę niewiele różni się od przedwojennego, a w Niemczech zachodnich, przy uwzględnieniu węgla brunatnego, nawet nieco go przewyższa. Faktownie jednak zapotrzebowanie to jest znacznie wyższe i jego przyrost do niedawna pokrywany był przez ropę. Ujemne doświadczenia, poczynione pod tym względem przez Wielką Brytanię w związku z sprawą Kanału Sueskiego, skłaniają teraz do forsownej realizacji programu produkcji energii jądrowej.

W odróżnieniu od krajów kapitalistycznych socjalistyczne kraje Europy, poza ZSRR i Rumunią, produkują znikome ilości ropy naftowej, a możliwości wykorzystania na cele energetyczne ich zasobów sił wodnych nie są szczególnie korzystne. W krajach tych brak jest zatem poważnej konkurencji dla węgla ze strony innych rodzimych źródeł energii. Przywóz paliw płynnych z zagranicy jest oczywiście możliwy i faktycznie ma miejsce, ale ze względu choćby na bilans płatniczy nie może on przybrać większych rozmiarów. Nie wypiera więc węgla, jak to ma miejsce na Zachodzie. Stąd prosty wniosek, że dalszy rozwój gospodarczy, a przede wszystkim przemysłowy tych krajów, które w kierunku takiego przemysłowania konsekwentnie zmierzają, oprócz się musi o węgiel (także brunatny) pochodzenia przede wszystkim własnego, ale również z bezpośrednio sąsiadujących krajów tej samej grupy.

W tych warunkach wzrost wskaźnika zużycia węgla jest na tym

obszarze objawem zrozumiałym i słusznym. Z drugiej strony, przy rozpatrywaniu dalszych perspektyw dla zużycia węgla, szczególnie w Polsce, należy wziąć pod uwagę również i drugą z wymienionych dwóch tendencji, które dziś kształtują rozmiary tego zużycia, a mianowicie tendencję do zbywania węgla możliwie w postaci przetworzonej, przede wszystkim koksu, gazu, brykiet i energii elektrycznej. Obserwować można wszędzie, że w stosunku do ogólnego zbytu — zużycie węgla dla jego przetworzenia wzrasta bardzo gwałtownie w porównaniu do zużycia węgla w stanie naturalnym.

Świadczy o tym zestawienie ilustrujące zużycie węgla dla jego przetworzenia w koksośniach, gazowniach, brykietowniach i elektrowniach cieplnych, obliczone w procentach do ogólnego jego spożycia w kraju:

	1938	1955
Wielka Brytania	32,9	49,3
Francja	41,0	53,2
USA	23,8	57,9

Ten sam odsetek w Niemieckiej Republice Federalnej, dla której brak przedwojennych danych, osiągnął w 1955 r. wyższy niż gdziekolwiek odsetek — 65 proc., co tłumaczy się szczególną przydatnością węgla z zagłębia Ruhry do przeróbki chemicznej.

Dla Polski porównania z okresem przedwojennym nie mają racji bytu ze względu na całkiem inną strukturę naszego współczesnego organizmu gospodarczego. Natomiast za okres planu sześciolletniego, kiedy nasze życie gospodarcze wyszło już z pierwszych trudności powojennych, udział ten wyniósł w 1950 r. 30,9 proc., a w 1955 r. — 38,8 proc., przy czym tendencja zwykła w dalszym ciągu się utrzymuje.

Wprawdzie węgiel kamienny jest i pozostaje w Polsce prawie bezkonkurencyjnym źródłem energii, jednakże z liczb przytoczonych na III Kongresie Inżynierów i Techników Polskich wynika, że zapotrzebowanie na węgiel jest przede wszystkim pochodną dwóch czynników: rozwoju hutnictwa i produkcji energii elektrycznej.

O ile chodzi o hutnictwo, to łączne jego zapotrzebowanie w postaci węgla i koksu osiąga w zachodniej Europie 20 proc. całego wydobycia węgla. Stąd wszelkie wahania w rozwoju tego przemysłu, jak np. osłabienie koniunktury na żelazo, jakie miało przejściowo miejsce w 1952 r. po zawarciu zezumienia w Korei, odbiło się od razu silnie na zachodnio — europejskim wydobyciu węgla, którego zwąły rosły wtedy na kopalniach. Taki stan rzeczy nie trwał jednak długo. Z końcem 1954 r. tendencje rynkowe w świecie kapitalistycznym się odwróciły i odtąd zapo-

trzebowanie na żelazo, a tym samym i na węgiel, jest bardzo mocne.

Wzrost produkcji elektrycznej ma powszechnie charakter dynamiczny. Planowany w Polsce w roku bieżącym wzrost o 10 proc. odpowiada tempu wzrostu, osiągniętemu dopiero w ostatnich latach w krajach Europy kapitalistycznej i uważanemu tam za wyjątkowo wysoki. Podobne tempo wzrostu produkcji energii elektrycznej notują również Stany Zjednoczone. W ZSRR było ono nawet wyższe w ubiegłej pięciolatce i w bieżącej pięciolatce ma być jeszcze podniesione.

Z drugiej strony, spożycie energii elektrycznej na głowę ludności jest dziś w Stanach Zjednoczonych (poza Norwegią) najwyższe na świecie, wynosząc rocznie 3400 kWh. Warto jest w tym miejscu wspomnieć, że większe słownie atomowe miały w 1956 r. pochłonię 61 mld kWh, co stanowi aż 10 proc. ogólnej wytwórczości energii w USA. Ponieważ około 80 proc. tej ilości będzie wyprodukowane przez elektrownie ciepłe, przyszła wielka konkurentka węgla — energia jądrowa — dziś korzysta głównie z jego pomocy.

Wzrost zapotrzebowania na energię nie jest oczywiście równoznaczny z takim samym wzrostem zapotrzebowania na węgiel. Przede wszystkim dlatego, że w świecie (podobnie i w Europie) około 40% produkcji prądu przypada na silownię wodne, po wtóre zaś — stały postęp techniczny redukuje ilość węgla potrzebną do wyprodukowania jednej kilowatogodziny.

Nie ulega wątpliwości, że i w Polsce zużycie węgla kształtować się będzie w przyszłości w dużej mierze pod wpływem zapotrzebowania ze strony wymienionych dwóch wielkich konsumentów. Jednak i w pozostałych działach zużycia, jak przede wszystkim dla kolei, opatu domowego i przemysłu przetworczego, dzisiejsze ilości zbytu ulegną zwyczajnie. Ani nie przejdziemy tak szybko jak inne kraje na trakcję elektryczną, ani tradycyjnych potrzeb opałowych ludności zasadniczo nie przestawimy. Poza dalszym rozwojem przemysłu musimy więc i od tej strony liczyć się ze stałym wzrostem zapotrzebowania na węgiel.

Dochodzimy do kresu naszych rozważań. W warunkach przedwojennych, przy niemal powszechnej i równomiernej zależności krajów europejskich od węgla jako podstawowego źródła energii, międzynarodowe porównania wskaźników jego zużycia na głowę mogły służyć jako podstawa do interesujących wniosków. Dziś, przy walce konkurencyjnej różnych źródeł energii i przy tendencji do zużywania węgla możliwie w postaci przetworzonej, podobne porównania nie mają — w skali szerszej — racji bytu.

W ramach poszczególnych krajów, zwłaszcza jeśli konkurencja innych źródeł energii w zasadzie nie wchodzi w rachubę, kształtowanie się wskaźnika zużycia na głowę ludności takich wyjaśnień wymaga. Można posługiwać się nim tylko ostrożnie. Tego rodzaju wskaźnik nie jest zatem wskaźnikiem miarodajnym.

EDWARD ROSE

Aktualności

GOSPODARSTWO

BUDUJEMY ŚREDNIE KOPALNIE WĘGLA

Obok kopalni „Wesoła”, „Dąbelsko”, „Bieliszowice”, „Julian”, „Siersza” oraz w pobliżu Mikołowa prowadzone są obecnie wiercenia geologiczne, mające na celu określenie zalegania pokładów węgla kamiennego i wytyczanie terenów pod budowę średnich kopalni węgla.

Budowa kopalni średnich jest ekonomicznie uzasadniona. Przede wszystkim koszt budowy tego rodzaju kopalni jest znacznie tańszy od budowy kopalni głębinowych. Sama ich budowa trwa o wiele krócej (około 3 lat) w porównaniu z budową kopalni głębinowych (około 7 lat). Daje to w konsekwencji możliwość szybszego uzyskania węgla.

Z tych przyczyn jeszcze w bieżącym roku rozpocznie się budowa pierwszej średniej kopalni węgla, a w przyszłym roku — trzech następnych. Ogółem w najbliższych latach powstanie 6 nowych średnich kopalni węgla.

Zwiększone zostanie także budownictwo kopalni płytowych: odkrywkowych i górnych, z których bardzo szybko można uzyskać wydobyte. Na przykład węgiel z kopalni odkrywkowej można wydobywać już w ciągu 2—6 miesięcy od chwili rozpoczęcia budowy. Obecnie prowadzone są prace przygotowawcze do uruchomienia kopalni płytowych obok kopalni „Murek”, „Boże Dary” w Łaziskach Górnych oraz w Jaworznie.

Już w przyszłym roku kopalnie płytowe dadzą około 2,5 mln ton węgla. W 1960 r. wydobyte wzrosło do ok. 3,5 mln ton, a w przyszłym

roku — trzech następnych. Ogółem w najbliższych latach powstanie 6 nowych średnich kopalni węgla.

Zwiększone zostanie także budownictwo kopalni płytowych: odkrywkowych i górnych, z których bardzo szybko można uzyskać wydobyte. Na przykład węgiel z kopalni odkrywkowej można wydobywać już w ciągu 2—6 miesięcy od chwili rozpoczęcia budowy. Obecnie prowadzone są prace przygotowawcze do uruchomienia kopalni płytowych obok kopalni „Murek”, „Boże Dary” w Łaziskach Górnych oraz w Jaworznie.

Już w przyszłym roku kopalnie płytowe dadzą około 2,5 mln ton węgla. W 1960 r. wydobyte wzrosło do ok. 3,5 mln ton, a w przyszłym

TRUDNOŚCI WARSZAWSKIEGO BUDOWNICTWA

Najtrudniejszym okresem dla warszawskiego budownictwa jest nie zima, lecz lato. Co roku z warszawskich placów budowy „ucieka” kilkuset robotników. Związane jest to z tym, iż robotnicy rekrutują się w przeważnej mierze ze wsi, a w okresie nasilonych prac polnych opuszczają place budowy. Dotyczy to młodzi: lipiec, sierpień i wrzesień.

W tym roku sytuacja na budowach jest jeszcze trudniejsza niż co roku, ze względu na ożywienie się budownictwa prywatnego, do którego odeszło sporo wykwalifikowanych robotników (głównie murarzy). Poza tym część robotników pochodzących ze wsi opuściła budowy na stałe w związku z nową polityką rolną, zwłaszcza że wiosna bieżącego roku zlikwidowała tak zwane rozłakowe.

W związku z tym tempo prac na budowach poważnie osłabło. Brak ludzi na wielu budowach, mimo poprawy zapotrzebienia materiałowego, spowodował po-

ważne opóźnienia. Tak np. wskutek braku 20 murarzy i 30 robotników niewykwalifikowanych są opóźnienia przy budowie bloków ZOR w Ursusie. Z tych samych przyczyn opóźniona jest budowa szkoły w Pruszkowie, tak iż prawdopodobnie nie zostanie oddana do użytku młodzieży z początkiem września, tak jak było planowane. Opóźnienia spowodowane brakiem robotników występują prawie na wszystkich budowach, a głównie w Ślęcach i w Radociu.

Na okres zimy odeszło z pracy ok. 25% robotników. Jeśli do tego dodać tych robotników, którzy odeszli z budownictwa wiosną br., trudność z brakiem ludzi na budowach staje się rzeczywiście ogromna.

Trudną sytuację na warszawskich budowach pogłębia ponadto fakt niedostatecznego i nierównomiernego zaopatrzenia w cegły, cemeny, szkło na szyby, kłepkę podłogową.

SPÓŁDZIELCZOŚĆ HANDLU Z ZAGRANICĄ

W dniu 6 lipca rozpoczęło działalność spółdzielcze przedsiębiorstwo handlu zagranicznego „Coopexim” (spółka z ograniczoną odpowiedzialnością). „Coopexim” będzie zajmować się na zasadzie wyłączności eksportem towarów produkowanych przez spółdzielczość pracy, a także importem surowców i maszyn dla spółdzielczości.

Według ustaleń Ministerstwa Handlu Zagranicznego „Coopexim” będzie eksportować zabytki, wyroby szczerbarkarskie i z włókna, wyroby konfekcyjne i galanterię, wikliny i wyroby wiklinowe, przetwory warzywne i owocowe, przyrządy pomiarowe oraz inne towary.

W chwili obecnej „Coopexim” prowadzi już ożywioną działalność idącą w kierunku nawiązania jak największej ilości kontaktów z zagranicą. Młodzi innymi obecnie przeprowadzane są rozmowy z handlowcami francuskimi i zachodniemieckimi.

Wzrost produkcji w warszawskich budowach pogłębia ponadto fakt niedostatecznego i nierównomiernego zaopatrzenia w cegły, cemeny, szkło na szyby, kłepkę podłogową.

Trudną sytuację na warszawskich budowach pogłębia ponadto fakt niedostatecznego i nierównomiernego zaopatrzenia w cegły, cemeny, szkło na szyby, kłepkę podłogową.

Zyczymy powodzenia. (Wkra)

DOLARY WYDOBYTE Z WODY

W Hucie „Florian” uruchomiono nowy oddział produkcyjny do tzw. odzysku slarszanu żelazowego. Oddział ten jest pierwszym tego rodzaju w naszym hutnictwie. Jego produkcja przyniesie naszej gospodarce poważne oszczędności w dewizach, a przemysłowi chemicznemu dostarczy rocznie kilkadziesiąt ton cennego produktu.

braku odpowiednich urządzeń wypuszczających z wodą pochodzącą z wytrawiania żelaza (ten cenny surowiec, obecnie używa rocznie około 800 ton slarszanu żelazowego, wartości ok. miliona złotych).

Przemysł chemiczny dzięki tej nowej produkcji będzie mógł się zaopatrywać w slarszan żelazowy z dostaw krajowych, eliminując dotychczasowy import z NRD.

KŁOPOTY Z BURSZTYNEM

Spółdzielnia pracy w Siłupsku „Szkło Spomorskie”, w wyniku kilkunastuletnich prac wiertniczo-poszukiwawczych, odkryła wioską na polach wsi Mozdzanowo duże złoża bursztynu.

Uplynie kilka miesięcy i spółdzielnia otrzymała wiele propozycji w sprawie zawarcia umów na dostawę tego surowca. Zarząd spółdzielni postanowił więc jak najrybniej przystąpić do eksploatacji. Tu jednak wyłoniły się nieprzewidziane trudności. Pierwszą, i jak dotychczas nie do przezwyciężenia, przeszkodą okazał się brak koparek. Postanowiono

jednak wydobywać bursztyn ręcznie. Nie można jednak rozpocząć eksploatacji bez otrzymania zezwolenia odpowiednich władz państwowych.

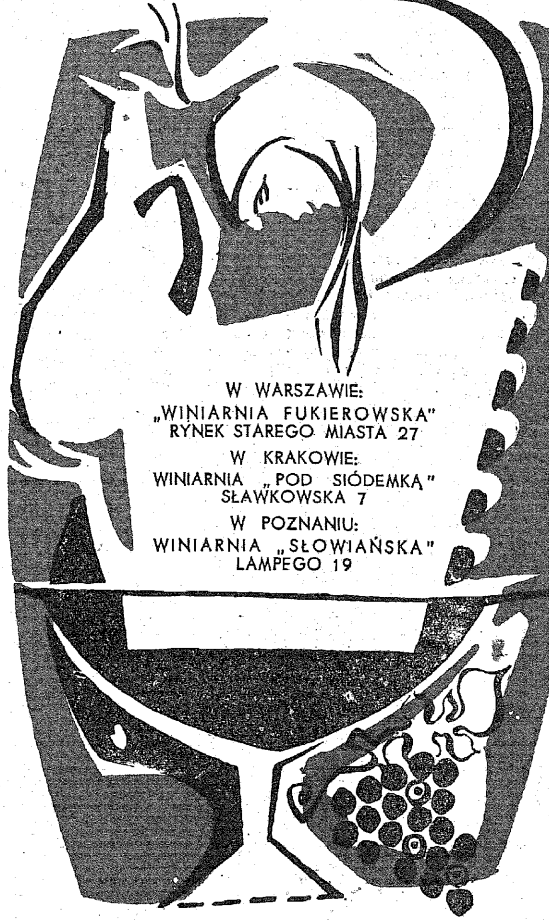
Bez pomocy Centralnego Związku Spółdzielców Pracy w zakresie zaopatrzenia spółdzielni w mechaniczny sprzęt wydobywczy, jak również uzyskania wspomnianego zezwolenia, tegoroczny sezon wydobywczy może być zaprzeczony. Bursztyn będzie leżał nadal w ziemi, młast służyć jako surowiec do wyrobu poszukiwanego za granicą galanterii.

CENTRALNE PIWNICE WIN IMPORTOWANYCH

PRZEDSIĘBIORSTWO PAŃSTWOWE W WARSZAWIE

zawład amiają, że zostały otwarte

WZORCOWE PROBIERNE WIN IMPORTOWANYCH



W WARSZAWIE:

"WINIARNIA FUKIEROWSKA"

RYNEK STAREGO MIASTA 27

W KRAKOWIE:

WINIARNIA „POD SIÓDEMKĄ"

ŚLAWKOWSKA 7

W POZNANIU:

WINIARNIA „SŁOWIAŃSKA"

LAMPEGO 19

POLECAJĄC SMAKOSZOM PEŁEN ASORTYMENT WIN GROHOWYCH

IMPORTOWANYCH

WINIARNIE NASZE PROWADZĄ RÓWNIEŻ SPRZEDAŻ DETALICZNĄ

WIN W BUTELKACH.

Główną przeszkodą w racjonalnym zaplanowaniu przebudowy miast staje się prywatna własność terenów miejskich, wobec której najlepszy urbanista staje się bezsilny, jeżeli ujmie swoją rolę wyłącznie z pozycji autora planów. Stopniowo główne pole działania urbanisty przesunęło się z rysowniczości do sali konferencyjnej, do biur notarialnych i w teren, gdzie prowadzi nie kończące się pertraktacje i targi z setkami właścicieli terenów, spekulujących posiadającą wartość każdej na swój sposób.

Są w NRF przykłady, gdzie spryt i taktyczne zdolności urbanisty rzeczywiście doprowadziły do podjęcia wielkich, celowych zamierzeń regulacyjnych i scaleniowych. Wymieniłem tu moją odtworzoną zniszczonych śródmieściu Hannoveru, Frankfurtu, niektórych dzielnic Hamburga. Są też przykłady, że urbanista musiał skapitulować wobec niestępliwości kamieniczników i spekulatorów, np. gdzie pomimo tożalności prawie zniszczonej nie udało się dostosować przebiegu ulic do wymagań nowoczesnego ruchu miejskiego, gdzie pomiędzy nowymi i olbrzymimi domami pozostała kilkumetrowa szerokość niezabudowana i zagruzowana szpara, której właściciel czeka na dalszy wzrost renty gruntowej. Zbiorowiskiem tego rodzaju niepowodzeń jest na przykład Kolonia.

Interesowała nas przede wszystkim ta zwana „małą” urbanistyką, czyli planowanie zabudowy osiedli i bloków mieszkaniowych. W okresie międzywojennego modernizmu szeroko rozpowszechniona była w Niemczech zasada sztywnej, czysto funkcjonalnej zabudowy grupowej (tzw. Zeilenbau). Po przebiegu okresu (do ok. 1928 r.) cechowała znów zasada dużej, nieprzerwanej zabudowy obrotowej.

Obecnie widac znacznie mniej schematyczne systemy zabudowy a przede wszystkim dążenie do wczuwania się w charakter terenu i dostosowywania zabudowy do jego rzeźby. Prowadzi to do układow swobodnych, niewymuszonych, lecz na ogół wolnych od nonszalanckich, która jest charakterystyczna dla rozplanowania niektórych osiedli czy to we Francji i w Belgii, czy też od niedawna znów u nas. Bardzo często operuje się motywem swobodnie zabudowanego dziedzińca. Osiedla położone peryferyjnie, o niskiej zabudowie nawiązują znów do tradycyjnego układu okólnika wiejskiego (tzw. Dorfanger), zamkniętego widokowo budynkiem ustawionym w poprzek do boków podłużnych.

Jeżeli abstrahować od osiedli domów jednorodzinnych (przeważnie piętrowych, bardzo często w układzie szeregowym) i bardzo nielicznych wysokich domów mieszkalnych, to można powiedzieć, że przeważa wyraźnie zabudowa o wysokości 3 i 4 kondygnacji nadziemnych, bez windy. W nowszych osiedlach przewiduje się przy każdym domu plac do zaparkowania samochodów i rezerwa teren dla garaży przy większych zespołach. Z dużą starannością chroni się zieloną istniejącą i planuje nową. W osiedlach zarządzanych przez spółdzielnie i towarzystwa mieszkaniowe lokatory lub właściciele podpisują zobowiązania, że bez zgody administracji nie będą budowali urządzeń gospodarczych w ogródkach i na ogół zobowiązania te są dotrzymywane.

REWELACJA —
BRAK REWELACJI
Rewelacją w dziedzinie materiałów budowlanych konstrukcji i metod wykonawstwa była dla nas właściwie niemożność zauważenia jakichkolwiek rewelacji. Przynajmniej na pozór. Prawie bez wyjąt-

ku buduje się ulepszoną metodą tradycyjną. Francuzi stworzyli dla określenia tego systemu słowo „le traditionnel evolue”. A więc ściany zewnętrzne i wewnętrzne murowane przez zwykłych murarzy, a nie montowane z wielkich elementów; tynki zwyczajne lecz dobrej jakości; dachy normalne, przeważnie o wianuszku drewnianym. Trochę więcej kolorów w okuciach niż u nas, podłogi rozmaite — z mas plastycznych, gumy, linoleum ale także z drewna. I oczywiście znacznie lepsza jakość i kompletność urządzeń instalacyjnych. Na czym więc polegało ulepszenie budownictwa tradycyjnego?

Zacznijmy od murów. Z ogólnego bilansu materiałowego wynika, że 2/3 materiałów murowych są pochodzenia ceramicznego, zaś 1/3 — to bloki ściennie produkowane przeważnie na kruszywie pumekowym pochodzącym głównie z wielkiego źródła tego surowca w rejonie Neuvièd nad Renem. Używam określenia „materiały pochodzenia ceramicznego”, gdyż klasyczna pełna cegła praktycznie przestaje być materiałem murowym i jej rolę ogranicza się coraz bardziej do roli okładziny i licówki. Podstawowym tworzywem murów są wszelkiego rodzaju wyroby drążone o wymiarze co najmniej dwukrotnie większym od cegły normalnej.

Nie znaczy to, że nie czyniono tu i ówdzie prób stosowania większych i większych elementów prefabrykowanych. Przecież już w latach dwudziestych znany architekt Ernst May wybudował we Frankfurcie pierwsze domy z wielkich prefabrykowanych elementów betonowych, typu podobnego, jaki stosujemy obecnie na Wierzbnie. Ale okazało się, że ten typ budownictwa w dzisiejszym stanie techniki budowlanej daje ekonomiczne korzyści tylko w określonych warunkach i na ogół nie może jeszcze konkurować pod względem jakości i ceny z coraz bardziej udoskonalanym, niesłusznie tak zwanym systemem tradycyjnym.

Oczywiście istnieje duża produkcja i konsumpcja prefabrykatów. Ale są to wyroby o charakterze galanterii, o małych wymiarach i małej wadze, które produkują się w wielkich seriach i których przewóz na większe odległości jest opłacalny. A więc stopnie, nadproża, parapety itd. Jeżeli natomiast chodzi o stropy, które jeszcze kilka lat temu również budowano z prefabrykatów podobnych do naszych DMS-ów, to można obecnie zaobserwować ciekawą zjawiską powszechnego renesansu stropu monolitycznego wylewanego na miejscu.

Jednym z czołowych problemów technicznego budownictwa mieszkaniowego staje się obecnie zagadnienie izolacji akustycznej. Problem ten, niedostatecznie uwzględniany w naszym nadmiernie maszynowym budownictwie, staje się oczywiście tym bardziej palący przy wprowadzaniu cienkich stropów maszynowych i ścian z pustką wewnętrzną lub z lekkiego materiału. Toteż warstwy i estetyczne izolujące należą dzisiaj do normalnego wyposażenia domu mieszkaniowego w NRF i sprawy ochrony akustycznej są przedmiotem intensywnych badań naukowych.

Wysokość pomieszczeń mieszkalnych sięga do 2,4 m i nie przekracza nigdy około 2,6 m w świetle pokoju (wobec ciągle jeszcze u nas obowiązującej minimalnej granicy 2,75 m w świetle). Mimo to wentylacja grawitacyjna pomieszczeń mieszkalnych, posiadających otwierane okna jest rzeczą w NRF całkowicie nieznaną. Nieznana o tego stopnia, że zapytując o to z trudem tylko potrafili wytłumaczyć niemieckiemu inżynierowi, o co mi chodzi. I to nie z powodu trudności językowych, lecz jedynie dlatego, że myśli o umieszczeniu przewodu wentylacyjnego w pokoju, w którym można otworzyć ok-

BUDOWNICTWO MIESZKANIOWE W NRF (II)

Od urbanistyki do

JULIUSZ GORYŃSKI

no wydała mu się tak absurdalna i nonsensowna, że przez dłuższy czas nie mógł uwierzyć, że o to właśnie mi chodzi.

BUDOWAĆ NISKO CZY WYSOKO?

Dotychczasowy opis dotyczył oczywiście wielkiej masy nowego budownictwa. Odbiegają od opisanego typu oczywiście z jednej strony stosunkowo nieliczne wille luksusowe i siedziby magnackie, a z drugiej strony również nieliczne domy wysokie, tzn. od 8 do 20 pięter mieszkalnych. Chcę mówić tylko o tych ostatnich, bo podobnie jak u nas, również w NRF stanowią one co do celowości wysokiego budownictwa mieszkaniowego są wyraźnie podzielone.

Linia podziału w tym sporze przebiega dosyć wyraźnie pomiędzy inwestorami — przeciwnymi — i architektami — za. Sami użytkownicy stoją w wyzyskującej postawie na boku. Pozornie gwałtowność sporu nie znajduje wytłumaczenia w zasięgu tego problemu. Według bowiem twierdzeń moich niepełnych informatorów, od końca wojny do chwili obecnej wybudowano w NRF nie więcej niż około 200 wysokich budynków mieszkalnych. Jeżeli założymy, że przeciętnie zawierały one nawet po 200 mieszkań, to tych łącznie 40 tysięcy mieszkań stanowiłoby nie wiele powyżej 1 proc. całości mieszkań nowo wybudowanych po wojnie.

Znaczenie poważniejszą wygląda sprawa, jeżeli spojrzeć na projekt zabudowy. Na wielu z nich figurują w pokątnej liczbie niezrealizowane przez inwestorów wysokościowe marzenia architektów w postaci ciemno zabarwionych kwadratów, gwiazd i prostokątów. Oznaczają one niezbędne ich zdaniem akcenty wysokości w postaci punktów i domów „lamelowych”, wysokich do dwudziestu kilku pięter.

Inwestorzy natomiast pokazują ze złośliwym uśmiechem założone w tych miejscach zieleńce w osiedlach domów 3—piętrowych i wskazując na swoją dłoń twierdząc, że raczej na niej wyrosnie przyszłowiwy kaktus niż na zieleńcu — wieżowiec. Na czym polega istota sporu? Że mieszkania w wieżowcach są tańsze od mieszkań w budynkach przeciętnej wysokości, tego nie twierdzą już nawet najbardziej zapaleni architekci. Wszyscy pogodzili się z faktem, że na razie są one droższe o 20 do 100 proc. w porównaniu z klasycznym typem mieszkania. Na odwrót, inwestorzy przestali twierdzić, że nie znajdują lokatorów do mieszkań położonych na wyższych piętrach. Praktyka bowiem wykazała, że zawsze pewien odsetek rodzin, szczególnie rodzin mniejsze i zamożniejsze — po pewnym czasie zamieszkiwania w takim domu przyzwyczajają się do tego i nawet przywiązują.

Główną przyczyną niechęci inwestorów są, poza zwiększonymi kosztami budowy, trudności techniczne i nieporównalnie wyższe koszty eksploatacji budynków wysokich. Skomplikowane urządzenia techniczne (windy, ogrzewanie, instalacje itd.) od których sprawnego i bezawaryjnego funkcjonowania znacznie bardziej jest uwarun-

kowana przydatność użytkowania niż w domu niskim lub średniej wysokości, wymagają specjalnie wyszkolonego stałego personelu. Dlatego też, jak również wskutek rzeczowych wydatków eksploatacyjnych koszty zarządzania domami wysokimi są wielokrotnie wyższe.

Dyskusja trwa i trudno przewidywać jej wyniki końcowe. Na razie wydaje się, że domy wysokie będą realizowane raczej jako rozwiązania wyjątkowe, i to przede wszystkim wówczas, gdy zajdzie konieczność wybudowania na ograniczonym terenie mieszkań najmniejszych (kawalerek) i małych apartamentów luksusowych dla niewielkich rodzin, które stać na opłacanie znacznie wyższego komornego. Wydaje się dalej, że zostaną zarzucone jako szczególnie nieekonomiczne, tak zwane punktowe i że przyszłość należeć będzie do domów o racie w zasadzie prostokątnym lub wydłużonym (Lamellenhäuser), tak aby na każdym piętrze można było umieścić większą ilość mieszkań dla lepszego wykorzystania kosztownych wind i innych instalacji. Powszechnie zaczyna się w tym celu stosować rozwiązania z krótkimi galeriami-balkonami, prowadzącymi do 4—6 mieszkań.

BLOKI CZY DOMEY JEDNORODZINNE?

Oto przedmiot innej dyskusji. Zwolennicy budowy domków jednorodzinnych chcieliby wzorem Ameryki całkowicie przestawić budownictwo mieszkaniowe na budowę jednorodzinnych domków własnościowych (tzw. Eigenheim) z własnymi ogródkami. Przeciwnicy znów przestrzegają przed nadmiernym przestrzennym rozrostem miast, wynikającym stąd trudnościami komunikacyjnymi oraz przed nadmiernym kosztem tego typu budownictwa. Oficjalnie stanowisko zostało sformułowane w sposób następujący: „Domów wielorodzinnych tyle, ile potrzeba, — domów jednorodzinnych tyle, ile nas stać”.

W myśl tej zasady realizuje się jedno i drugie, lecz przy stałym rosnącym udziale domów jednorodzinnych, który obecnie sięga 40% całego nowego budownictwa. Jednorodzinne domy w NRF są bardziej zbliżone do typu holenderskiego lub angielskiego, niż do typu parterowego „bungalowu” amerykań-

kańskiego. Przeważa typ domu parterowego z dachem wysokim, mieszczącym dodatkowe mieszkanie lub też domu piętrowego z dachem płaskim. Są to domy co najmniej bliźniacze, jeszcze częściej szeregowo, na działkach niewielkich, od 250 do 400 m kw. Do niedawna powszechnie mieszkań uprawianych do pomocy kredytowej ze środków publicznych ograniczano do maksymalnie 85 m kw., obecnie dolna granica wynosi 50, a górna 120 m kw. W budownictwie blokowym do chwili obecnej obowiązują górna granica 85 m kw. W tym miejscu warto nadmienić, że obowiązująca u nas górna granica dla obydwoch rodzajów budownictwa — 110 m kw. — została w wyniku gwałtownych dyskusji praktycznie podwyższona do 140 m kw., gdyż dorzucono niemożliwy do skontrolowania dodatek 30 m kw. na cele zawodowe. Czyżby więc istotnie sytuacja ekonomiczna była u nas o tyle pomyślniejsza niż w NRF? Podobne wątpliwości nasuwają się, jeżeli porówna się wielkość działek pod budownictwo jednorodzinne.

Zwarta zabudowa jednorodzinna stosowana na uzbrojonym terenie miejskim pozwala na osiągnięcie gęstości niewiele niższej niż w budownictwie wielorodzinnym. Ogródki mają charakter prawie wyłącznie ozdobny i wypoczynkowy, rzadko tylko spotyka się drobną uprawę warzywniczą, hodowlą inwentarza jest na ogół zakazana.

Natomiast na dalekich peryferiach miast i na terenach wiejskich dopuszcza się osadniczy typ budownictwa jednorodzinnego (tzw. Kleinsiedlerstelle), na parcelach o przeciętnej wielkości 1000 do 1200 m kw. W tym przypadku ogródek jest obliczony na dostarczenie rodzinie potrzebnych warzyw i na prowadzenie drobnej hodowli. Oczywiście tereny dla tego budownictwa nie posiadają pełnego uzbrojenia typu miejskiego. Celem budownictwa osadniczego jest m.in. przeciwdziałanie ucieczce ze wsi (Landflucht) i dostarczanie pracownikom przemysłu mieszkań położonych w promieniu dojazdu do zakładu przy jednoczesnym zachowaniu pewnej ich więzi z rejonem wiejskim. Z budownictwa typu osadniczego szeroko korzystają górnicy i hutnicy.

Zastępuje na wylęczenie ciekawa forma mieszkaniostwa zbiorowego

dla młodocianych pracowników przemysłu, która obecnie coraz szerzej zastępuje internaty przy szkołach zawodowych oraz bursy i hotele robotnicze. Są to tak zwane „wioski Pestalozziego”. Myśl przewodnią polega na tym, że dany internat zastępuje formą zamieszkania, która tworzy młodocianemu uczniowi lub robotnikowi rodzaj zastępczej rodziny. W tym celu dobudowuje się do normalnych osiedli robotniczych zespoły domków jednorodzinnych, w których osadza się specjalnie dobrane małżeństwa podejmujące się przyjąć pod swoją opiekę po 6 — 9 chłopców.

Poza tym istnieje w takiej wiosce dom społeczny — rodzaj klubu młodzieżowego — gdzie mieści się siedziba kierownictwa pedagogicznego i administracyjnego wioski, biblioteka i czytelnia, sale do zabaw i zajęć warsztatowych, bufet i sala kinowa — imprezowa.

W pierwszych realizacjach tego typu przesadzono w luksusowo-pokazowym charakterze, co niewątpliwie było błędem wychowawczym i ekonomicznym. Ostatnie, znacznie skromniejsze realizacje, są wolne od tej fasadowości i według twierdzenia gospodarzy kalkulują się nawet taniej od internatów i hoteli zbiorowych dawnego typu, zarówno pod względem kosztów budowy jak też eksploatacji.

ROBUDOWA DZIELNIC STARIEMIEJSKICH I TROCHĘ O ARCHITEKTURZE

W wielu miastach NRF uległy zniszczeniu w czasie wojny staromiejskie dzielnice mieszkaniowe, które do czasu wojny zachowały się w stanie mało zmienionym i zawierały wiele cennych zabytków architektonicznych. Przyjeżdżając z kraju znacznie biedniejszego, jeżeli chodzi o ilość zachowanych zabytków architektury, w którym wskutek tego z zasady zniszczone dzielnice staromiejskie rekonstruowano możliwie wiernie według przekazów historycznych, interesowaliśmy się oczywiście żywo sposobem rozwiązywania tych zagadnień w NRF.

Oto z oglądanych miast znaleźliśmy tylko jeden przykład wiernie rekonstrukcji, a mianowicie odbudowę tzw. Rynku Princypalnego w Münster. O wyborze systemu rekonstrukcji zgodnej z posiadanymi dokumentami zdecydowały tam zarówno przywiązanie mieszkańców

DYSKUSJA • DYSKUSJA • DYSKUSJA

Szczeble

Jak długo popyt na dany towar odpowiada jego produkcji, produkcja zaś absorbuje całkowitą zdolność produkcyjną danej branży, to wszystkie przedsiębiorstwa tej branży cieszą się pomyślnością gospodarczą, nie napotykać na żadne trudności zbytu oraz osiągać pewien stopień rentowności, z wyjątkiem pewnej ilości przestarzałych urządzeń, które dochodzą do końca swego życia zarobkowego i muszą być stale wycofywane z obiegu. W tej sytuacji każde przedsiębiorstwo rozwija się z powodzeniem wszystkie swoje problemy wewnętrzne. Tego rodzaju stan równowagi, obejmujący wszystkie, a przynajmniej najważniejsze gałęzie życia gospodarczego, nie może trwać zbyt długo, o ile w braku centralnego organu planującego rozbudowa zdolności produkcyjnej nie pokrywa się z kierunkami wzrostu popytu, jeszcze gorzej jeżeli wzrostowi zdolności produkcyjnej nie towarzyszy odpowiedni wzrost popytu. Właśnie dla uniknięcia tego rodzaju sytuacji, rodzącej kryzys gospodarczy, konieczny jest centralny organ planujący.

Jasne jest jednak, że jeżeli w położeniu względnie równowagi poszczególne przedsiębiorstwa rozwiązują samodzielnie wszystkie swe problemy wewnętrzne, to wyłączenie ich pod tym względem przez kogokolwiek może tylko pogorszyć sytuację. W miarę bowiem oddalania się od przedsiębiorstwa tracą się wyzycie jego warunków działania oraz istotnych potrzeb, które są w odniesieniu do każdego przedsiębiorstwa czymś zupełnie indywidualnym. Jakby wyglądała regulacja ruchu ulicznego, gdyby z jakiegokolwiek centralnego punktu wielkiego miasta drogą radiową grupa dyspozytorów ruchu chciała dyry-

gować oddzielnie każdym pojazdem i przechodnikiem. Każdy kierowca i każdy przechodzień sam się najlepiej orientują w sprawach dotyczących bezpośrednio ich poruszania się, dla celów zaś przeciwności ruchu, uniknięcia zatorów oraz zabezpieczenia przed wypadkami potrzebne są pewne ogólne przepisy i kontrola ich przestrzegania. Poza tym każdy kierowca i każdy przechodzień pozostaje w ramach ogólnych przepisów nadal autentycznie poruszającą się jednostką ruchu.

Zwinięte położenie równowagi gospodarczej może być odbudowane, raz zaś osiągnięte położenie równowagi może być z powodzeniem utrzymywane przy pomocy jednego tylko środka gospodarczego, a mianowicie, centralnego planowania inwestycji zarówno pod względem ich wysokości, jak też kierunków działalności inwestycyjnej. Centralny organ planujący nie ma poza tym żadnych innych funkcji do wykonania, przekraczając zaś ten zakres kompetencji, zaczyna osłabiać sprawność gospodarczą kraju. Od stopnia przekraczania tych kompetencji zależy stopień szkód wyrządzonych życiu gospodarczemu. W skrajnym przypadku daleko posuniętego wtrącania się centralnego organu planowania do szczegółów wykonawstwa może dojść do daleko posuniętej anarchii i olbrzymich szkód.

W zaspokajaniu potrzeb publicznych jesteśmy już od setek lat przyzwyczajeni do centralnego planowania o tyle zresztą ulotwione, że czynnik rentowności albo nie odgrywa tutaj żadnej roli, lub też rolę podrzędną. Pomijamy dlatego odcinek problemu w naszej dyskusji, koncentrując się wyłącznie na odcinku potrzeb prywatnych. Tutaj zagadnienie rentowności uryśta do roli zupełnie pierwotnej. Jeżeli bowiem godzimy się z planową deficytowością odcinka publicznego, w takim razie jako jedyną drogą pokrycia tego deficytu

oraz stwarzania środków na dalszą rozbudowę życia gospodarczego pozostaje odcinek zaspokajania potrzeb prywatnych. Innymi słowy, przedsiębiorstwa zaspokajające potrzeby prywatne muszą być bezwzględnie rentowne i od stopnia ich rentowności zależy całkowicie tempo rozwoju gospodarczego.

Zjawisko popytu posiada charakter masowy i podlega prawu działania wielkich liczb. Czynnik ten sprawia, że można prywatnemu konsumentowi pozostawić pełną swobodę wydawania swego dochodu na dowolnie wybrane dobra i usługi bez jakiegokolwiek obawy zaniechania produkcji i zbytu. Zmiany preferencji poszczególnych konsumentów sumują się każdorazowo w określone zmiany kierunków globalnego popytu, które mogą być z największą precyzją obliczone, a nawet przewidywane. I to jest główną funkcją centralnego organu planującego, aby dopasować do globalnego popytu i jego poszczególnych kierunków globalną produkcję z podziałem jej na poszczególne gałęzie; do produkcji i kole do dopasować zdolność produkcyjną. Ogólnym zaś punktem wyjścia całej tej akcji jest planowanie nowych inwestycji. Jeżeli bowiem przyjmujemy, że w pewnej ilości gałęzi dokonano błędnych inwestycji, które nadmiernie rozbudowały w nich zdolność produkcyjną, to chyba nikt nie będzie doradzał zniechęcenia pewnej części nadmiernie rozbudowanej zdolności, lecz jedynie wstrzymanie w tychże gałęziach na pewien okres dalszej rozbudowy zdolności produkcyjnej i przeniesienia nowych inwestycji na gałęzie, które z rozbudową swą zdolności pozostały w tyle. Najlepszym zresztą wskaźnikiem w tym względzie oraz czynnikiem korektywnym są właśnie wahania rentowności, to nie tylko w ustroju kapitalistycznym, ale i socjalistycznym. Wzrost oszczędności socjalistycznego nad kapitalistycznym powinna wia-

Referat wygłoszony na Kole Nauk Społecznych KUL. Drukujemy go dla przedstawienia czytelnikom poglądów autora.

Redakcja

KONSERWY



architektury

miasta do tego naprawdę pięknego zespołu architektury renesansowej i częściowo gotyckiej, jak też być może wyjątkowe walory architektoniczne częściowo zachowanego ratusza, w którym mieści się słynna sala pokoju wstfalskiego. Niektóre elewacje zostały nieco uproszczone, a wnętrza domów odpowiadają oczywiście współczesnym wymaganiom, lecz pomimo to został tam duży fragment starego środowiska odbudowany bez zmiany dawnego układu ulic i przy pełnym poszanowaniu dawnego wyglądu. Bardzo późnowojenne odbudowano również późnobarokowy zamek, w którego wnętrzu umieszczono część uniwersytetu.

Te naprawdę udane realizacje znalazły chyba pełną aprobatę ludności miasta. Przedmiotem ostrej dyskusji natomiast jest obecnie supernowoczesny gmach teatru, wybudowany w bezpośrednim sąsiedztwie gmachów historycznych. Nowotwarty teatr robi wrażenie śmiało zaprojektowanego pawilonu wystawowego i niewątpliwie zawiera wiele ciekawych rozwiązań konstrukcyjnych i technicznych. Mam jednak pewne wątpliwości, czy taki właśnie budynek zdoła z godnością wstąpić w swoje otoczenie i czy nie „opatrzy” się w krótkim czasie. Taki bowiem był los eksponatów wystawowych obliczonych na krótkotrwałe zaprowanie widza swoją niezwykłością, lecz po pewnym okresie nie zdołają zastąpić utraconego czaru nowości wartościami trwałymi.

Inną metodą wybrano przy odbudowie, a właściwie nowej zabudowie terenu gruntownie zniszczonego starego miasta we Frankfurcie. Tam zrekonstruowano kilka tylko wybranych budynków o wyjątkowej wartości architektonicznej czy historycznej, jak słynny „Römer”, kilka kościołów czy też częściowo zachowany dom rodziców Goethego.

Bezpośrednie otoczenie tych obiektów zabudowane nowymi domami o przeznaczeniu przeważnie mieszkaniowym. Tworzą one swobodnie zaplanowane nowoczesne osiedle mieszkalne z zazielenionymi dziedzińcami. Dziedzińce są pomiedzy sobą połączone malowniczymi przejściami, a w samej architekturze również wyczuwa się poszukiwanie malowniczości i świadome dążenie do zachowania tzw. małej skali architektonicznej, która miała stanowić jedyny ułkon w kierunku poszanowania historycznego gruntu i jego nielustniejącej już ciasnej staromiejskiej zabudowy.

W sumie powstał tutaj rodzaj swoistego manierystycznego modernizmu, który miejscami przypomina

zabudowę tylnych ciałóg naszego Nowego Świata. Pozostała część dawniej dzielnicy staromiejskiej natomiast w niczym nie nawiązuje do dawnego charakteru.

Powstała tutaj całkowicie nowoczesna, silnie zamerykanizowana cica, w której szczególnie wyróżniają się dwa charakterystyczne obiekty. Są to: kilkunastopiętrowy wieżowiec parkingowy dla samochodów oraz wielka hala targowa. Przypadałoby, że hala targowa jest wyjątkowo uduym obiektem o bardzo eleganckim układzie konstrukcyjnym i doskonałym funkcjonalnym zaplanowaniu. Na tle czysto funkcjonalnego i nadzwyczaj prostego wnętrza tym bardziej działają kolory wystawionych na sprzedaż towarów. Pomimo wielkich walorów obydwóch obiektów sądzę jednak, że starsi Frankfurczycy chyba nie bez rozrzewnienia myślą o ciasnych starych uliczkach, kiedy dokonują zakupów w hali targowej lub zjeżdżają rampą ślimakową z dziesiątego poziomu parkingowego na nowoczesną ulicę swojego-nieswojego starego miasta.

Jeżeli w odbudowie starych miast Münster i Frankfurtu zostały zrealizowane dwie kraciworko odmienne, lecz konsekwentnie przeprowadzone zasady, to odbudowa starego centrum Kolonii odbywa się w sposób nieskoordynowany i wyraźnie podporządkowany indywidualnym zamiarom prywatnych właścicieli działek budowlanych.

Dowodem braku porządkującego nadzoru architektonicznego jest przypadkowość w zestawianiu budynków najróżnorodniejszego autoramentu. Swoistym curiosum jest nowowytbudowany dom słynnej firmy „4711” (woda kolońska) w bezpośrednim sąsiedztwie wspaniałej gotyckiej katedry. Ten pozornie modernistyczny dom objawił w sposób najbardziej nieoczekiwany, że również przy pomocy elementów architektury nowoczesnej można osiągnąć kiczowatą, okliwą całość, obok której najbardziej rozpasana secesja robiłaby wrażenie dostojnej powściągliwości. Nie wiem, czy o taki właśnie efekt (może ze względu na pachnącą treść domu) chodzą autorom. Jeżeli tak, to z wyraźną krzywdą dla otoczenia udało im się ten zamiar zrealizować.

Przykład ten nie jest jednak reprezentatywny dla projektowania architektonicznego NRF. Jechałem tam w oczekiwaniu, że zastanę architekturę złożoną z elementów zamerykanizowanego modernizmu i pseudoklasycznej monumentalności architektury trzeciej Rzeszy. Jeżeli chodzi o wielką masę budownictwa mieszkaniowego, to poglądy ten, powstały być może pod wpływem lektury czasopism architektonicznych, okazał się niesłuszny. Przeciwnie,

masowe budownictwo mieszkaniowe odznacza się prostotą i bezpretensjonalnością dobrej nowoczesności i jednocześnie nie ułaciło dobrej tradycji starannie zaprojektowanego i technicznie prawidłowego detalu. Przesadna masywność zastępująca prawdziwą monumentalność prawie nie występuje w nowych obiektach, tu i ówdzie natomiast — lecz bardzo rzadko, w obiektach mieszkaniowych — spotyka się przykłady preintelektualizowanego hypermodernizmu i ekstrawagancji. Sądzę, że to zdyscyplinowanie projektowania architektonicznego jest wynikiem zarówno drobiazgowej kontroli ekonomicznej projektu, jak też realistycznej polityki w zakresie stosowanych materiałów budowlanych i metod wykonawstwa.

*

Wyciąganie wniosków sięgających w przyszłość jest zawsze rzeczą ryzykowną i staje się nią tym bardziej, jeżeli wnioski te są oparte na bardzo powierzchownej znajomości faktów. Pomimo to stawiam sobie pytanie, jak będzie dalej przebiegał rozwój budownictwa mieszkaniowego w NRF, jaki będzie jego kierunek, czy jest możliwy dalszy jego wzrost ilościowy, czy też zajdą okoliczności, ograniczające jego zakres, i jeżeli tak, to jakie?

Otóż wydaje mi się, że jeżeli dotychczas na kierunku budownictwa mieszkaniowego, a właściwie na politykę budowlaną prowadzoną przez czynniki państwowe, największy wpływ miały tzw. obiektywne potrzeby mieszkaniowe, to już obecnie wyraźnie widać, jak coraz bardziej zaczynają dochodzić do głosu potrzeby subiektywne.

A więc potrzeby, które nie wynikają już z konieczności zaspokojenia elementarnych wymagań godziwego zamieszkania, lecz kształtujące się w zależności od indywidualnych życzeń i zamiarów. Te zaś będą się kształtowały w niedalekiej przyszłości pod znakiem wyraźnego wzrostu ilości czasu wolnego od pracy zawodowej (skrócenie czasu pracy do 40 godzin, automatyzacja) i pod znakiem powszechnej motoryzacji.

Wykorzystanie wolnego czasu staje się dużym problemem społecznym i niepoślednią rolę w jego właściwym rozwiązaniu odegra z pewnością odpowiednie rozbudowanie poziomu subiektywnych potrzeb mieszkaniowych. Aby to wyrazić prościej: niewątpliwie wzrost gwałtownie ilości reflektatorów na mieszkanie w domu jednorodzinnym z ogródkiem i jednocześnie zmniejszenie ilości kandydatów na mieszkanie w domach zbiorowych.

Ruchu takiego nie uda się zahamować najszybszym nawet wzrostem zakresu zbiorowej konsumpcji usług kulturalnych (widowisk, sportu, rozrywek), gdyż przebiegający równolegle wzrost motoryzacji pozwoli na korzystanie z tych usług w bardzo dużym promieniu. Musi to nieuchronnie doprowadzić do stałego terytorialnego rozrostu miast, którego tempo przyszości ludnościowego.

W wyniku problem dostarczania nowych terenów pod budownictwo mieszkaniowe, który już teraz w wielu miastach NRF zaczyna hamować możliwości budownictwa, stanie się chyba w niedalekiej przyszłości głównym czynnikiem ograniczającym. I dlatego wydaje mi się, że właśnie w tym państwie, które może po Stanach Zjednoczonych A. P. najmocniej akcentuje zasadę oparcia swojej gospodarki na swobodzie działania prywatnego kapitału i prywatnego podmiotu gospodarki, najszybciej wyniknie konieczność ograniczenia tej swobody w zakresie własności gruntowej.

Świadomość takiej konieczności posiada już wielu urbanistów i działaczy mieszkaniowych w NRF, rodzi się ona również u ekonomistów NRF działających dzisiaj jeszcze poza granicami innego ograniczenia własności, które było konsekwencją wojennych trudności mieszkaniowych: reglamentacji komorniczej, która obecnie krok po kroku ulega likwidacji. Dzieje się to zarówno w imię poprawienia stanu utrzymania istniejącego zasobu mieszkaniowego, jak też w myśl doktryny przywrócenia pełnej rentowności prywatnym lokatom kapitałowym.

Wydaje mi się, że w momencie osiągnięcia tego upragnionego celu czynniki kierujące gospodarką NRF staną wobec władz konieczności wprowadzenia nowego ograniczenia własności prywatnej, które znacznie bardziej będzie godziło w podstawy ich prywatno — kapitalistycznego credo gospodarczego. Staną bowiem wobec alternatywy wprowadzenia „skutecznie działającej reformy gruntowej lub też radykalnego zahamowania tempa rozpadzonego do granic swoich możliwości aparatu produkcyjnego budownictwa. Taka zaś operacja mogłaby, moim zdaniem, w decydujący sposób wpłynąć na zmniejszenie prosperity panującej obecnie w NRF.

Nie moja rzeczą jest martwić się za kierowników gospodarczych NRF o znalezienie właściwego rozwiązania tego dylematu. Nie można też porównywać sytuacji budownictwa mieszkaniowego NRF z aktualną sytuacją u nas. Sądzę jednak, że spojrzenie na problemy urbanistyczne i budownictwa mieszkaniowego w kraju, który wyprzedza nas w rozwoju gospodarczym o wiele lat, daje nam sposobność spostrzeżenia niektórych problemów, które w przyszłości będą i naszymi problemami. Szansa taka powinna być wykorzystana, aby już dzisiaj, kiedy to możemy uczynić znacznie łatwiej, przygotować się do uniknięcia podobnych trudności.

Ekonomiści warszawscy o monopolu „Domu Książki” i „Ruchu”

Sekcja Handlu Oddziału Warszawskiego PTE odbyła dwudniową dyskusję na temat obecnego stanu handlu książkami i czasopismami w Polsce, z udziałem zaproszonych przedstawicieli tego handlu (tj. „Domu Książki” i przedsiębiorstwa „Ruch”) oraz reprezentantów produkcji tego towaru (tj. wydawców i redaktorów czasopism). Poniżej podajemy w skrócie wyniki tej dyskusji opracowane przez Prezydium Sekcji.

Spotykamy się coraz częściej z poglądem głoszonym przez osoby kompetentne w dziedzinie literatury, iż istnieje zjawisko wypierania publikacji wartościowych przez tzw. zmię (tj. towar o niskiej wartości użytkowej, tandetę) oraz spadku rozmiarów czytelnictwa, przy czym to szkodliwe dla rozwoju kultury zjawisko spowodowane jest jakoby koniecznościami natury handlowej. Teza ta musi zaniepokoić ekonomistów, wymaga od nich ustosunkowania się, oparte o odpowiednią analizę sprawy — czemu właśnie poświęcono wspomniane zebranie dyskusyjne.

W toku dyskusji ustalili się poglądy, iż nasz handel zarówno czasopismami jak książkami, jest zorganizowany w sposób monopolistyczny. Odnosnie sprzedaży czasopism jest to monopol formalny, oparty na przepisach dekretu o łączności, w myśl którego Minister Łączności uprawniony jest do powierzenia rozprzedaży czasopism podległym sobie instytucjom, a w praktyce powierzył ją tylko PPK „Ruch”.

W handlu książkami formy monopolistyczne są mniej jaskrawe. Nie mają one podstawy prawnej, istnieją via facti, przez zobowiązanie państwowych przedsiębiorstw wydawniczych do sprzedaży ich produktów wyłącznie przedsiębiorstwu „Dom Książki”, które prowadzi zarówno handel hurtowy jak detaliczny.

Ustosunkowując się do organizacji handlu książkami i czasopismami, należy bardzo wyraźnie odróżnić od siebie z jednej strony koncentrację, a z drugiej strony monopolizację tego handlu. Ocena działalności „Ruchu” i „Domu Książki” polegać powinna na stwierdzeniu, czy swą sytuację monopolistyczną wykorzystują one w sposób wyciągający wszystkie korzystne konsekwencje z koncentracji obrotów, osiągającą wysoką sprawność swego handlu — czy też przeciwnie, ciągną one ze swej sytuacji monopolistycznej swoistą rentę, wyrażającą się w warunkach socjalizmu nie tyle w wysokich zyskach, co w niskiej sprawności, nazywanej niekiedy „rentą nieudolności”.

Jeśli chodzi o sprzedaż książek najważniejszym brakiem jest wyraźna niedostateczna analiza rynku oraz niezdolność do właściwego kształtowania popytu. Stale napotykamy na liczne tytuły rozprzedawane w bardzo krótkim czasie, co znaczy, że przy istniejącej cenie stanowią one towar deficytowy. Jednocześnie liczne inne tytuły wydawane są w nakładach nadmiernych, zalegają magazyny lub są odesyłane na przemiał do papieru. Inne wreszcie książki znajdują się w sprzedaży znacznie krócej, aniżeli tego wymaga ich żywotność, na skutek złe obliczonego nakładu lub złej techniki rozprowadzenia i zbyt niskiego normatywu rotacji (6 miesięcy). Ostatnio obserwuje się wyraźną tendencję „Domu Książki” do ustalania nakładów na poziomie tak niskim, aby gwarantował on szłąką rozprzedaw książek bez specjalnych zabiegów sprzedawcy; oznacza to niejako pogodzenie się z nieumiejętnością dokonania analizy rynku i przerzucenie pływających z tego uciążliwości na barki nabywców względnie na finansie publiczne. Jest to dosyć typowy objaw monopolistycznej „renty nieudolności”.

Ten niski poziom techniki sprzedaży powoduje tendencję „Domu Książki” do lansowania takiego towaru, który „sam się sprzedaje”, a więc w wielkiej mierze tandety. Stwierdzić należy, że handel sprawnie działający, a zwłaszcza handel socjalistyczny, potrafi sprzedawać towar o wysokiej wartości użytkowej równie, a nawet bardziej korzystnie dla siebie, niż tandetę. **Przeło wspomnianą tezę znawców literatury, iż rozpanoszenie się „zmię” spowodowane jest koniecznościami natury handlowej — należy skorygować w tym duchu, iż są to konieczności złego handlu, o malej sprawności technicznej i organizacyjnej.**

„Dom Książki” w roku bieżącym narzucił wydawcom redukcję produkcji o około 25 proc., lecz w cenach z 1956 r. co w cenach bieżących stanowi wzrost o 16 proc., a więc znacznie mniej niż jednoczesny wzrost siły nabywczej ludności — zaś na 1958 r. przewidziana jest dalsza redukcja. Zamierzenia te motywowane są tym, iż wskutek wyższej cen książek nastąpiło skurczenie popytu na nie, wbrew wzrostowi siły nabywczej. Byłoby to zjawisko wysoce niepożądane, m. in. dlatego, że w obecnych warunkach rynkowych konieczne jest pełne wykorzystanie posiadanych zdolności produkcyjnych i zapewnienie maksymalnej podaży artykułów konsumpcyjnych, do których należy książka.

Zredukowanie produkcji wydawnictwa byłoby po prostu najniekorzystniejszą operacją, błędem ustosunkowania się do przebiegu procesów rynkowych, wygodniactwem — co jest zjawiskiem typowym w sytuacji monopolistycznej, znajdującym nader prężne podobieństwo w polityce karteli węgla lub siar w latach przedwojennych.

Przedsiębiorstwo „Ruch” ma poważne osiągnięcia w sprzedaży — głównie kioskowej — gazet codziennych i innych periodyków pe-

pularnych. Słabsze rezultaty osiąga w sprzedaży abonamentowej. Przyczyną tego wydaje się być mała sprawność dostawy pism abonamentu, brak zróżnicowania ceny abonamentowej i kioskowej oraz uciążliwy dla nabywców formalizm w technice przyjmowania abonamentu.

„Ruch” w całokształcie swej działalności kolportażowej jest deficytowy. Źródłem deficytu jest sprzedaż gazet codziennych. Natomiast dochodowa jest sprzedaż wioskach artykułów przemysłowych oraz sprzedaż czasopism specjalistycznych, fachowych, ukazujących się w stosunkowo małych nakładach, rozprawdzanych głównie w abonamencie.

Wydawcy i redaktorzy czasopism specjalistycznych w bardzo wielkiej liczbie przypadków traktują usługi „Ruchu” jako przymus uciążliwy i kosztowny. Stwierdzono, iż pojedyncza redakcja, organizując ekspedycję czasopism do swoich abonentów we własnym zakresie, chałupniczo, w wielu przypadkach zdolna jest jej dokonać znacznie taniej niż wynoszą opłaty „Ruchu”. W ten sposób zachodzi coś w rodzaju premiowania gazet przez czasopisma specjalistyczne, zaciemniające jasność buchalterii narodowej, powodujące fikcyjność kalkulacji kosztów własnych i uniemożliwiające kontrolę pracy czasopism — i również „Ruchu” — poprzez rachunek ekonomiczny.

Zwalczając tezy wydawców i redaktorów, reprezentant „Ruchu” zwrócił uwagę na to, iż taryfy pocztowe są czasopismami są deficytowe, co jest wyrównywane przez wysokie opłaty kolportażu. Zapowiedział nawet podwyżkę tych taryf i ustalenie ich na poziomie pełnych obecných opłat „Ruchu”. Stwierdził również gotowość zrezygnowania z obsługiwanego czasopism specjalistycznych, ale pod warunkiem, że dotyczy to tylko wszystkich czasopism gąnego wydawcy oraz oznaczać będzie odmowę przyjmowania tych czasopism do sprzedaży kioskowej.

Zrównanie taryf pocztowych z cenami za usługi „Ruchu” byłoby niespotykaną anomalią, oznaczającą rażącą dysproporcję między ceną porta za druki i za listy zwykłe, przywilej taryfowy dla przedsiębiorstwa monopolistycznego stwarzający tzw. przymus motywacyjny, nazbyt przypominający przymuszanie robotników do zakupywania w sklepach należących do kapitalistycznego producenta.

Reasumując te uwagi wypada niechętnie stwierdzić, że stojmy nie tyle wobec potrzeby szczegółowych ulepszeń w ramach istniejącego systemu sprzedaży książek i czasopism — co wobec potrzeby głębokiej rewizji tego systemu.

W dyskusji starano się wyjść poza analizę krytyczną i sformułować pewne konkretne postulaty pozytywne.

Odnosnie handlu książką wysunęto pogląd, że jego organizacja mogłaby być — w zgodzie z poprzednimi poglądami — zarysowana np. następująco:

1. Jednostką podstawową powinno być specjalizowane przedsiębiorstwo detaliczne, przy czym — zdaniem niektórych — w bardzo częstych przypadkach przedsiębiorstwo jednostkowe, księgarnia. Jako jednostkę podstawową wyposażać ją należy w możliwie szeroki zakres samodzielności, a przede wszystkim w prawo swobodnego wyboru dostawcy.

2. Obok specjalizowanego handlu księgarskiego dopuścić należy sprzedaż książek w innych sklepach, m. in. handlu wiejskiego. Jako rzecz szczególnie ważną wskazać należy księgarstwo organizowane bezpośrednio przez wydawców.

3. Jednym z dostawców detalu powinien być hurt księgarski, ale bez żadnej wyłączności, detali powinien być uprawniony również do bezpośredniego zakupu u producentów — wydawców. Właściwie się to powinno z umownym podziałem rabatu hurtowego pomiędzy detalistą i wydawcą.

4. Wydawca powinien ponosić odpowiedzialność za swą produkcję, sam określać dobór tytułów i rozmiar nakładów. Odpowiedzialność tę może ponosić, jeżeli odbiorcami jego będzie zarówno hurt, jak detali specjalizowany i inny, wreszcie detali własny. Wymaga to swobody wyboru odbiorcy, analogicznie do swobody wyboru dostawcy udzielonej detalicznie oraz możliwości organizowania własnego hurtu.

Odnosnie handlu czasopismami można by wysunąć następujące postulaty organizacyjne:

1. Monopol formalny „Ruchu” należy zlikwidować, co nie przeżyje ze daleko posuniętą koncentracją obrotu czasopismami jest pożądana.

2. Przedsiębiorstwa wydawnicze powinny mieć prawo organizowania abonamentu we własnym zakresie, gdy rachunek gospodarczy czyni to bardziej celowe, aniżeli korzystanie z usług przedsiębiorstwa kolportażowego.

3. Umowy między wydawcami a przedsiębiorstwem (lub przedsiębiorstwami) kolportażowymi, powinny być zawierane indywidualnie, określać zakres usług kolportażu i wynikającą z tego ich cenę.

Jako tezę ogólną wskazano związanie sprzedaży książki i czasopisma z ogólną polityką handlową, a więc m. in. potrzebę zmiany obecnej ich podległości wyłącznie resortom kultury i łączności.

• DYSKUSJA • DYSKUSJA • DYSKUSJA • DYSKUSJA •

planowania

KAZIMIERZ STUDENTOWICZ

nie polegać na szybszej i bardziej sprawnej reakcji na wahanie czynników rentowności, przede wszystkim zaś na działaniu prewencyjnym, polegającym na niedopuszczeniu do takich kierunków rozwoju zdolności produkcyjnej, które by popadły w sprzeczność z postulatami rentowności, jeżeli zaś to się zdarzy, to żeby działanie czynnika korygującego następowało nie później, ale szybciej. Ale podstawowym warunkiem przejawiania się rentowności i jej obliczalności jest bezwzględnie jednolita struktura cen. Jak ma być bliżej rozumieć zasadę jednolitej ceny, tym się w obecnym odczycie bliżej zajmować nie będziemy.

Zakładając istnienie jednolitej struktury cen oraz sprawne funkcjonowanie i obliczalność rentowności, trzeba uznać, że nowe inwestycje powinny iść na rozbudowę tych gałęzi życia gospodarczego, które wykazują wyższe zyski, uniknąć zaś tych gałęzi, które dają straty. Jest to zgodne ze wszystkimi kryteriami socjalistycznej gospodarki na odcinku zaspokajania potrzeb prywatnych. W ten sposób bowiem służymy najlepiej konsumentowi, dając mu to, czego najwięcej potrzebuje. Jest to następnie najlżejsza droga do szybkiej akumulacji kapitałów, potrzebnych na dalszą rozbudowę życia gospodarczego. Siwarzamy w końcu w ten sposób najlepszy fundament dla ostatecznego zaspokajania potrzeb publicznych. To właśnie jest główna funkcja centralnego organu planującego, której miłk za ten organ nie wykona, a która jest niezbędna dla odzyskania i zachowania równowagi gospodarczej oraz zdyktowania życia gospodarczego. Centralny organ planujący powinien zatem obliczać wysokość i strukturę dochodu narodowego; podejmować decyzję, jaka część tego dochodu może i powinna być akumulowana; dzielić w końcu tę akumulowaną część na poszczególne gałęzie życia gospo-

darczego. Nie są to zadania łatwe i drobne, ale też na wykonaniu tych zadań funkcje centralnego organu planującego w zupełności się nie wyczerpują i próbując rozszerzać swe kompetencje kosztem niższych szczebli planowania gospodarczego centralny organ planujący osłabia sprawność życia gospodarczego, jego równowagę i rentowność; zaczyna działać w sposób anarchizujący życie gospodarcze.

Ustalone przez centralny organ planujący limity inwestycyjne powinny być przekazywane do bardziej szczegółowego zaplanowania centralnym związkom branżowym, opartym na zasadach samorządu gospodarczego, z możliwie silnym udziałem czynnika pracowniczego obok czynnika kierowniczego, nie majoryzującym jednak tego ostatniego. Sposób powoływania oraz organizacja samorządu społecznego podlegającego do zupełnie specjalny temat, którym się tutaj szczegółowo zajmować nie możemy. Planowanie ze strony centralnego związku branżowego powinno się ograniczyć głównie do ustalenia pewnych nie-spornych priorytetów inwestycyjnych oraz przydziału surowców, maszyn i materiałów. W tym celu byłoby oczywiście konieczne odpowiednio porozumienie wzajemnie zainteresowanych branż w ramach poszczególnych izb: przemysłowej, rolniczej, handlu, rzemiosła itp. Pozostała reszta funduszy inwestycyjnych powinien dysponować w granicach ustalonych limitów branżowych system bankowy, kierując się w swej działalności rentowności i wyłącznie kryterium rentowności i odpowiedzialności finansowej przedsiębiorstwa. Kredytowane sumy powinny być zwrotne i oprocentowane i w pewnych granicach powinny być dopuszczalne współzawodnictwo poszczególnych przedsiębiorstw w ubieganiu się o kredyty inwestycyjne. Jakikolwiek ogólne planowanie i limitowanie kredytów obrotowych, ustalanie w tym

względnie jakichkolwiek normatywów itp. nie powinno mieć w ogóle miejsca. W tej dziedzinie należy pozostawić systemowi pieniężno-kredytowemu całkowitą swobodę działania na tym odcinku.

Cała reszła zagadnień organizacyjnych, technicznych, finansowych i gospodarczych powinna być pozostawiona w autonomicznym zakresie działaniom poszczególnych przedsiębiorstw z tym oczywiście zastrzeżeniem, żeby kierownictwo tych przedsiębiorstw posiadało charakter trwały i fachowy. Ale o tym z kolei powinna rozstrzygać wyłącznie rentowność przedsiębiorstw. Kierownictwo, które zapewni przedsiębiorstwu odpowiednią rentowność powinno być praktycznie nieusuwalne; kierownictwo niezdolne wykazać się odpowiednią rentownością powinno być zmienione. Bankructwo przedsiębiorstwa prywatnego polega również tylko na zmianie właściciela, względnie kierownika. Przedsiębiorstwo pozostaje i pracuje nadal, chyba że jest już tak dalece przestarzałe, że nie jest już więcej zdolne pokryć kosztów bieżących (zmiennych) i musi iść na złom.

Dla celów zaopatrzenia i zbytu mogą i powinny oczywiście powstać odpowiednie organizacje centralne, ale powinny to być organizacje skomercjalizowane i oparte na zasadach dobrowolności ofiarowanych usług, tym samym zmuszone do udowodnienia swej gospodarczej racji bytu przez zapewnienie sobie rentowności tak, jak wszystkie inne przedsiębiorstwa.

W powyższym schemacie nie ma w ogóle miejsca ani potrzeby na ministerstwa resortowe, centralne zarządy i zjednoczenia. Ale też jest to cała jego zaleta. Z ministerstw gospodarczych powinny pozostać jedynie znane już przed wojną resorty tzn. finansów, przemysłu i handlu, rolnictwa, transportu i łączności oraz pracy i opieki społecz-

nej. Powinny one tworzyć Komitet Ekonomiczny Rady Ministrów, przy którym właśnie powinien istnieć wspomniany już centralny organ planujący ze stałym fachowym dyrektorem na czele. Przewodniczącym Komitetu Ekonomicznego powinien być minister finansów ze względów, o których trzeba by specjalnie mówić. Chodzi, krótko mówiąc, o to, że przy daleko posuniętym podziale pracy wszystkie procesy gospodarcze muszą występować pod formą pieniężną, tak że polityka pieniężno-kredytowa stanowi szczytowo powiązanie całego systemu procesów gospodarczych. Przy pomocy polityki pieniężno-kredytowej mogą być w najwyższym stopniu automatyzowane wszystkie procesy gospodarcze. A przecież żyjemy w epoce energii atomowej i automatyzacji, a nie powrotu do archaicznych metod gospodarki patriarchalnej, w której dobry ojciec rodziny wglądał w każdy szczegół gospodarstwa domowego.

Reasumując, cała organizacja planowania gospodarczego powinna się ograniczać do trzech szczebli: maksimum funkcji powinno pozostać na dole, w samym przedsiębiorstwie, wyposażonym w autonomię, o ile możliwości jak najbar-dziej zbliżoną do autonomii kapitalistycznego przedsiębiorstwa prywatnego. Minimum funkcji powinno należeć do centralnego organu planującego, ograniczonego do faktu do dzielenia dochodu narodowego na część konsumowaną i oszczędzaną oraz decydowania o pozostawieniu oszczędzanej na poszczególne działy życia gospodarczego. Wszelkie dalsze szczegółowe planowanie powinno należeć do samorządu społeczno-gospodarczego z tym, żeby ograniczało ono autonomię poszczególnych przedsiębiorstw rzeczywiste tylko w sprawach przekraczających ich możliwości wykonawcze.

PO JEDNEJ CZY PO DWÓCH STRONACH

Różne są dzieje artykułów zamieszczanych w prasie, różne skutki. Bywa tak, zwłaszcza gdy dziennikarz nie cofa się przed krytyczną oceną zjawisk i ludzi za nie odpowiedzialnych, że jedyną odpowiedzią jest milczenie. Bywa również tak, że przeciwko argumentom dziennikarza wysuwa się na zimno, na trzeźwo miarzące kontrargumenty. Inna rzecz, że nie zawsze są one w zgodzie z prawdą, często nawet z przyzwoitością. Trzecim wreszcie typem reakcji i skutków artykułu prasowego jest dobrze zorganizowana kontrykacja tzw. zainteresowanych czynników.

Dla piszącego wszystkie formy przynioszą zadowolenie z wyjątkiem przemilczenia. Chodzi bowiem o to, by możliwie dokładnie poznać prawdę, obiektywnie dociec, jakie są źródła i przyczyny krytykowanego zjawiska. To zaś stwierdzenie może z kolei przynieść środki poprawy.

Wspominam o tych sprawach nie przypadkowo. Przed kilku bowiem dniami uczestniczyłem w dużej dyskusji właśnie na ten temat. Ministerstwo Przemysłu Chemicznego zorganizowało specjalny zjazd w Jeleniej Górze, który miał na celu wykazanie, że tygodnik nasz zajął niewłaściwe, mylne, ba, szkodliwe stanowisko w sprawie Celwiskozy, w sprawie warunków BHP w tych zakładach. Konferencja była bardzo ożywiona i uczestniczyło w niej wielu ludzi. A więc przedstawiciele ministerstwa, dyrektor centralnego zarządu, cała dykcja i aktywiści przedsiębiorstwa; na zaproszenie ministerstwa przybyli również przedstawiciele świata nauki: prof. Horst, który zajmuje się sprawami warunków pracy w Celwiskozie z punktu widzenia lekarskiego oraz prof. Ferencowicz, który zajmuje się przebudową, poprawą i unowocześnieniem systemu wentylacji w zakładach. Był również lekarz, reprezentujący przyfabryczne ambulatorium. Redakcja „Życia Gospodarczego” delegowała swych dwóch przedstawicieli.

I znowu wyliczenie wszystkich uczestników, a przynajmniej najważniejszych ma tu swoje znaczenie. Wszyscy bowiem wymienieni, z nielicznymi wyjątkami, ruszyli do generalnego ataku. Nie brak było ciekich uwag pod naszym adresem, a pośrednio i często bezpośrednio pod adresem całej prasy. Wytykano nam nieodpowiedzialność, niekompetencję, brak znajomości rzeczy, nieorientowanie się w skomplikowanych zagadnieniach technicznych. W sumie obraz dziennikarza nabrał kształtów apokaliptycznego potwora, goniącego za sensacją za wszelką cenę i wyrządzającego przy tym wiele szkody ludziom i gospodarce, w tym przypadku zakładom produkcji włókna sztucznego.

O tym nastawieniu świadczy zresztą ton wypowiedzi. Nie będę cytował uwag rzucanych w czasie objawionej, choć nie pozbawionej subiektywno-uciążliwych akcentów, dyskusji. Poprzedzę na niektórych tylko akcentach wypowiedzi dyr. Sobolewskiego w „Życiu Gospodarczym” oraz drugiego dokumentu, jaki wypłynął do redakcji zanim zdążyliśmy zająć stanowisko w sprawie odbytej w Celwiskozie konferencji. Dokumentem tym jest list podpisany przez wszystkie organizacje w Celwiskozie. List ten przysłał nam w pełnym brzmieniu obok. Co do merytorycznych spraw w nim zawartych wypowiem się dalej. Teraz chciałbym jedynie wskazać na te miejsca, które charakterystycznie ton wypowiedzi. Red. Gorkowski był może, w zbyst wielu miejscach popełnił nieścisłości i rozminął się z prawdą. Jednakże argumentacja jego dotyczyła przedmiotu dyskusji, dotyczyła rzeczy. Natomiast druga strona zbyst często ponosi temperament i dyskusja schodzi wtedy na tory personalne, naspikowana jest złotymi myśłami dotyczącymi dziennikarza i prasy w ogóle.

Dyr. Sobolewski pisze: „Byłoby dużo wygodniej przemilczeć artykuł i nie wdać się w polemikę z pracownikiem pióra, ale byłoby to przyswójliwym chowaniem głowy w piasek...”. Gdyby autor artykułu nie opierał się tylko na własnej niezaangażowanej rzeczy...

Sformułowania te i inne są nie-dwuznaczne, choć ogólnie. Znaczenie najbardziej agresywne są sformułowania listu Celwiskozy, choć był to pismo już po poważnej konferencji, na której miano poznać prawdziwy obraz zakładów. A więc jest to znak, że akcja, że atak trwa nadal.

W liście tym, utartym już zwyczajem, wypowiedzi dziennikarza nazywa się elukubracjami, stwierdza się, że autor wyraźnie nie lubi cenić swoich słów i wypowiedzi, że „prawdopodobnie w odpowiedzi znajstuje ponownie coś nie opartego na rzeczywistości”.

Stwierdza się z pozazdrożeniem godnym humorem, że red. Gorkowski nie korzysta z lepszych warunków socjalnych, jakie przysługują pracownikom przedsiębiorstwa. Przypuszczam, że autorzy listu nie korzystają w tej samej mierze ze skafandrów, przeznaczonych dla nurek.

A dalej: „red. Gorkowski speperował liczbę”, „twierdzenie wysane z palca (szkoda, że nie z brudnego uwo. tj.) Za użycie tak mocnych słów nie rhamy zamiaru przeproszać autora artykułu”. „Świadome, celowe podcięcie do artykułu wyganiającego mgr. Sobolew-

skiego” itd. itd. Co najmniej jedna trzecia listu zajmuje się wylewaniem żółci i nienajlepszej próby złościwości pod adresem dziennikarza.

Zostawmy jednak na boku te sprawy, chociaż zbyt często powtarzają się w nich nawziska.

Wróćmy do konferencji, która moim zdaniem, potwierdzonym zresztą treścią i formą listu Celwiskozy, była jednym z ogniw ogólnego łańcucha.

Zasadniczym tematem dyskusji był problem, czy istotnie w Celwiskozie warunki pracy są złe, czy stężenia dwusiarczku węgla są tak wysokie, że zagrażają zdrowiu robotników.

Najpierw więc wywiązał się długi spór między prof. Horstem i przedstawicielami administracji przemysłowej z jednej strony, a lekarzem zakładowym z drugiej — o metodę kwalifikowania robotników jako zatrutych. Sprawa na pozór tylko dotyczyła zagadnień terminologicznych. Bo przecież od jej rozstrzygnięcia zależą wykazy zatrutych, zależy wskaźnik statystyczny. Prof. Horst i inni są zdania, że zatrutym jest tylko ten, u którego stwierdza się objawy kliniczne zatrucia, przede wszystkim zaś nieodwracalne zmiany wywołane przebywaniem w atmosferze szkodliwego dwusiarczku węgla. Natomiast zakładowa służba zdrowia stoi na stanowisku, iż nie wolno czekać z kwalifikacją zatrucia do chwili, gdy te objawy wystąpią. Robotnik jest często zatruty już wtedy, gdy trudno stwierdzić, czy pewne zmiany w stanie zdrowia wywołane są właśnie wchłanianiem trującego gazu, czy też innymi zaburzeniami organizmu.

Wydaje się, że z punktu widzenia troski o zdrowie robotnika to drugie stanowisko jest słuszniejsze. Lista zachorowalności jest wtedy wprawdzie dłuższa i może się nie podobać na różnych szczeblach, ale istnieje większa pewność, że zagrożeni robotnicy w porę zostaną przeniesieni do innej pracy i poddani leczeniu. Prof. Horst zresztą nie zaprzecza, że w porę uchwycenie zatrucia daje się znacznie szybciej leczyć i można uniknąć zmian nieodwracalnych. Na nasze pytanie, kiedy jest ów moment, w którym należałoby chorego zakwalifikować jako zatrutego właśnie „w porę”, nie otrzymaliśmy jednak od prof. Horsta odpowiedzi. Natomiast uważa on, że zakłady są wymienienie urzędowe, że wentylacja jest wzorowa, że gdzie indziej jest znacznie gorzej. I znowu nasuwa się nam wątpliwość: czy taka właśnie powinna być postawa przedstawiciela medycyny pracy — wyszukiwania tego co dobre, przy słuszkowo małym zainteresowaniu tym, co złe. A że nie wszystko jest najlepsze w Celwiskozie — to chyba nie ulega wątpliwości.

Na żółtej tablicy wielkie czarne litery składają się w hasło, jakich tu wiele poraczyszczano w zakładach: „Porządek jest podstawą bezpieczeństwa”. Istotnie — ale jak ten porządek wygląda w Celwiskozie. W poszczególnych oddziałach panuje przerażający brud i nieporządek, stopy przeróżnych odpadków i odpadów, podłogi pozalewane wszelakimi cieczami, wśród których nie brak z pewnością używanych przy produkcji chemikaliów. Czy w takich warunkach można myśleć o zachowaniu higienicznych i bezpiecznych warunków pracy?

O tych sprawach jednak niewiele mówią oficjalne raporty z wizytacji. Ograniczają się do sławnej już sprawy stężeń na poszczególnych miejscach roboczych.

W naszym przemysle przyjęto za normami Związku Radzieckiego dopuszczalne stężenie 0,01 mg dwusiarczku węgla na 1 l powietrza. Wszyscy uczestnicy zjazdu występowali przeciwko tej normie, jako nieracjonalnej. Powoływano się na inne kraje, gdzie norma ta jest znacznie wyższa i sięga 0,05 czy nawet 0,06 mg dwusiarczku na litr powietrza. Związkiem przedstawicieli przemysłu widzą dużą przesadę w słuszkowaniu, że stężenia w Celwiskozie są wyższe od owej normy. Gdyby jednak chodziło tylko o owe 0,04 mg różnicy. Tymczasem wystarczy spojrzeć na zestawienie stężeń z czerwca br., by przekonać, że chodzi tu o całkowity rząd liczb. Wzany przykładowo maszynę przedmiotową 6. Wykonek analizy wykazały w czerwcu, że tylko w dwóch wypadkach stężenia były bliskie normy (0,01 i 0,02 mg na l); w 7 dniach stężenia kształtowały się na poziomie 0,05 mg na l, w ciągu 5 dni analiza wykazała stężenia od 0,06 do 0,08 mg na l. Natomiast 4 dni miały stężenie wyższe: 0,10, 0,22, 0,12, 0,11, oraz 0,15 mg dwusiarczku na litr powietrza. Trzeba przy tym podkreślić, że analizy wykonano tylko 19 razy w miesiącu na tym stanowisku (lub może pozostałe dni pominięto w zapisie). Jak widać z przytoczonych danych występujące stężenia są dziesięć i dwadzieścia razy większe od normy, gdyby zaś zwiększyć pięciokrotnie normy to i tak byłoby od niej wyższe od 2 do 4 razy.

Przytoczone stanowisko jest nie najgorzej spośród miejsc zagrożonych. Są oczywiście również takie punkty i miejsca, które mają znacznie niższe stężenia. Inne jednak mają jeszcze wyższe.

Sprawy więc nie można traktować ze zbytnią beztróską, gdyż stan bezpieczeństwa pracy daleki jest jeszcze od doskonałości. Związkiem, że wyrzutowo prowadzone badania nie dają pełnego obrazu warunków panujących w halach produkcyjnych i na stanowiskach roboczych. Istotnie może się zdarzyć, że w chwili pobierania próbki do analizy jest wyskok stężenia, ale nie da się zaprzeczyć, że to samo zjawisko może działać w odwrotnym kierunku.

W Celwiskozie odbyło swego czasu naradę z udziałem zagranicznych

specjalistów. Mówiło się wtedy, że urządzenia w naszych zakładach są lepsze niż gdzie indziej, a tymczasem lecba zachorowań jest większa. Oczywiście może ta różnica właśnie wypływać z metod kwalifikacji zatruc. Jak nam bowiem relacjonowano, w NRD za zatrutego uważa się istotnie takiego, który przejawia pod wpływem dwusiarczku wyraźne objawy psychiczne. Rzecz jednak nie w kwalifikacji i wskaźnikach — jeszcze raz to powtarzamy — lecz w tworzeniu jak najlepszych warunków pracy i roztoczeniu jak najrozsądniejszej opieki profilaktycznej i lekarskiej. Tak aby miało pełną treść hasło wywieszone w jednej z hal: „Zadna renta nie zastąpi zdolności do pracy”.

Pogląd na te sprawy można sobie wyrobić jedynie przez obiektywne poznanie prawdy.

I właśnie w dążeniu do tego celu rozpatrzmy sprawę od strony jak najbardziej rzeczowej.

A więc na początek: jakie błędy i nieścisłości popełnił red. Gorkowski w swym raporcie?

Niesłusznie przedstawił to, co zrobiono w zakresie przebudowy systemu wentylacji. Istotnie zrobiono więcej, zwłaszcza w okresie po napisaniu artykułu, o czym autor nie mógł wiedzieć.

Niezgodnie ze stanem faktycznym przedstawił stanowiska robocze, w których skrócono czas pracy.

Kierownik ambulatorium istotnie może codziennie otrzymywać wyniki pomiarów stężeń. Z tym, że jak się sam przekonałem, nie codziennie pomiaru te są przeprowadzane.

I wreszcie, co najważniejsze i co — jestem o tym przekonany — było głównym kamieniem obrazu; red. Gorkowski w dwóch miejscach stwierdził, że — prawda oskarża dykcję, iż plany usiłuje wykonywać kosztem zdrowia robotników. Myśl jest wyrażona dosadnie i bardzo subiektywnie. Moim zdaniem nie należało jej tak formułować. Ale to już chyba rzecz autora i jego osobistych wrażeń.

W swojej odpowiedzi red. Gorkowski powtarza nieprawdziwe stwierdzenie co do ilości pracowników korzystających z lepszych warunków i lepszej płacy. To samo dotyczy raportów stężeń. Nie właściwie również i wręcz nie na miejscu jest operowanie „średnią wysokich stężeń”. To istotnie może nosić wszelkie cechy preparowania danych liczbowych. Zresztą nie trzeba się uciekać do preparowania, gdyż własne raporty laboratorium dają dostatecznie dużo materiału dla stwierdzenia, iż stężenia te są istotnie wysokie, o czym zresztą wspominałem poprzednio.

I znowu wyjaśnienie kończy się zbyst może mocnym akcentem uogólniającym.

Tyle — moim zdaniem — nieścisłości było w artykule i replice. A ile prawdy? Chyba sporo, skoro większości stwierdził ani dyr. Sobolewski ani autorzy listu nie kwestionują.

Zobaczmy z kolei, jak wyglądają kontrargumenty.

Autorzy listu stwierdzają, że z lepszych warunków socjalnych korzystają wszyscy pracownicy pozostałych oddziałów, którzy się stykają z gazami mogącymi być szkodliwymi dla zdrowia. Kto chce walczyć o prawdę, musi się sam nią posługiwać. A to stwierdzenie jest nieprawdziwe. Uczestniczyłem w zebraniu poważnej części załogi, na którym w sposób burzliwy domagano się objęcia lepszymi warunkami wszystkich tych, którzy stykają się z dwusiarczkiem. Ządania te wysuwała załoga gniotowników, ekipy remontowe pracujące na przedziałach, pracownicy zakładów oliwarskich i szeregu innych stanowisk roboczych. W odpowiedzi usłyszeli od dyr. Miernika, że w bieżącym roku nie będzie nowych ilości etatów objętych nowymi warunkami, gdyż pula już jest wyczerpana. A więc chyba autorzy listu zagłupowali się.

List stwierdza, że wyniki pomiarów stężeń nie są tajemnicą, bo „nikomu nie broni się podawać ich wysokości”. Rzecz jednak w tym, że w zapisach laboratoryjnych nie były bynajmniej, by wyniki te były systematyczne, by badania przeprowadzane z jakąś dyscypliną. A więc i obraz wysnuty z tych wyników musi być taki sobie: pi razy oko. Ja na przykład daleki jestem od podejrzewania, że w dniach, w których nie wzięto do książki wyników analiz, stężenia były szczególnie wysokie i że pominięto je rozmyślnie. Gdyby jednak chciał się kierować wyszukiwaniem argumentów pro fas et pro nefas, nikt nie zabroniłby mi wysnuć takiego wniosku. A wnioskiem bardziej łagodnym będzie chyba apel, by nie czynić niepodważalnego argumentu ze statystyki, która nie jest statystyką, tylko zbiorem przypadkowych liczb.

Autorzy listu powołują się stale na autoritet prof. Horsta, pomijając natomiast milczeniem inne opinie. Takie przemilczanie jest też mijaniem się z prawdą. Chyba, że autorzy nie mają zaufania do innych opiniodawców i wizytujących. Niech to w takim razie wyraźnie powiedzą.

*

Znamienne jest stwierdzenie, że „artykuły red. Gorkowskiego w znacznej mierze podsydły wśród części załogi, wytworzoną psycho-

ze i przyczyniły się w ostatnim okresie do zaktywizowania elementów warcholskich...”. „Na tym polegała szkodliwość artykułu”.

Nie można przejść obojętnie wobec takiego stwierdzenia, gdyż — i tu wbrew moim zasadom muszę użyć mocniejszego słowa — jest to insynuacja z rzędu tych groźnych, tym groźniejszych, że perfidnych. Miałem możliwość rozmawiania z kilkudziesięcioma robotnikami i pracownikami Celwiskozy z różnych oddziałów i zajmujących różne szczeble służbowe. Ani jeden z nich nie tylko nie czytał artykułu, wóół którego robi się tyle hałasu, lecz nawet o nim nie słyszał. Czy więc nie przesadzone te insynuacje? Powiedzmy sobie w tym miejscu otwarcie, że aktywizacja elementów warcholskich jest wynikiem określonej sytuacji w zakładach. Przeprowadza się bez przygotowania podział załogi na lepsze zarabiających i korzystających z wielu przywilejów oraz na pozostałą część — pracującą na dawnych warunkach. Nie przeprowadza się akcji uświadamiającej, nie zapobiega się na strojom wywoływany przez elementy dające do uwarunków. Dykcja dopatruje się w działalności rady zakładowej elementów demagogii i dwulicowości, ale nie potrafi znaleźć sposobu na uładzenie sprawy. A kiedy sytuacja doszła do szczytowego napięcia, grożącego komplikacjami, a wywołanego bytnością przedstawicieli ministerstwa i centralnego zarządu — jasno skonkretyzowanym postulatом przeciwności są mgłne, wykrętnie odpowiedź, obliczenie zbadania niektórych spraw i odpisania w ciągu kilku dni.

Trzeba się przyznać do tego, że trudno sobie poradzić z przypadkową załogą, że trudno opanować na stroje wywoływane nieprzewidywanymi pociągająciami, a nie składać winy na prasę.

W swoim liście autorzy piszą dużo o stężeniach. Piszą oni, że „norm oficjalnych, o ile nam wiadomo, nie ma. W każdym razie na pewno nie ma ich w Czechosłowacji i NRD. W NRD przyjęte jest uważać stężenie CS₂ przekraczające 0,15 mg na litr za zbyt wysokie. Według danych z literatury fachowej angielskiej, stężenia powyżej 0,15, występujące stale, mogą być uważane za szkodliwe”.

Dla porównania przytoczę wyjątek z orzeczenia Instytutu Medycyny Pracy z dn. 27.XI.56 r. w sprawie Celwiskozy, (orzeczenia znanego chyba autorom listu):

ZSRR	0,01 mg/l (norma państw.)
Czechosłowacja	0,05 mg/l
USA	0,06 mg/l
Uellinger (Szwajcaria)	0,03 mg/l
Döberst (Francja)	0,03 mg/l
Resten i Demarest (Francja)	0,01 mg/l

A więc znowu przykład przemilczania, jakże bliski mijania się z prawdą.

W innym miejscu znajdujemy: „Techniczne osiągalna norma według ządania naszych nam fachowców, powinna wynosić 0,05 mg/litr powietrza. Zdanie świata lekarskiego jest na ogół inne, co uważamy za zupełnie naturalne”.

W tym miejscu trzy pytania: 1) jakich znanych nam fachowców? 2) jakie jest zdanie świata lekarskiego? 3) co i dlaczego autorzy listów uważają za naturalne? Bo coś się tu wydaje być nie po myśli autorów, że tak zgrabnie cytują zdania dotyczące bądź co bądź ważnej sprawy.

Tak więc przyznać trzeba, że prasa, w tym wypadku nasze czasopismo, popełniło szereg nieścisłości. Ale główna myśl wystąpienia, była chyba dostatecznie przejrzysta i słuszną. Przedstawiciele przemysłu zapewniają gorąco, że są dumni ze swych osiągnięć i że dążą do przetrwania „zmowy złych informacji”. Zapraszamy nas do pomocy w tym dziele. Słusznie, ale trzeba zacząć od siebie samego i wyżyć się zwyczajowi wyszukiwania kruchych, jeśli nie rozminających się z prawdą argumentów, jeśli się chce istotnie rzetelnie informować. A o co durny — istotnie, z wielu osiągnięć Celwiskoza może i powinna być dumna. Stan bhp poprawił się znacznie, znamy ludzi, którzy poświęcili wiele własnego trudu i zdrowia w walce o te poprawy. Ale nie znaczy to, by już wszystko było dobrze i by się upajać sukcesami.

Przedstawiciele centralnego zarządu i administracji zakładów podkreślali mocno, że wyrażono im poważną krytykę wyolbrzymiając całą sprawę, przemilczając osiągnięcia i pomawiając o świadość tolerowanie złych warunków bhp. Trzeba tu bezstronnie stwierdzić, iż gdyby miało takie wrażenie z całej sprawy pozostać, byłoby to bezsporna krytyka dla nich.

W Celwiskozie było bardzo źle, a teraz jest znacznie lepiej. A taki postęp oznacza już wiele. Fatalnie zbudowany system wentylacyjny, wykonany przez firmy czechosłowackie, zbadano dokładnie, wykryto jego wady projektowe i w wykonawstwie oraz postanowiono całkowicie zastąpić innym prawidłowym systemem. Tu leżało w przeszłości źródło największego niebezpieczeństwa. Bo jakże mogło być inaczej, skoro urządzenia wentylacyjne dawały tylko jedną trzecią czy jedną czwartą założonej wydajności. Trujące gazy musza wtedy pozostawać w hali. Mało, w jednym

z punktów zastosowano nawiewanie hali produkcyjnej raz już użytym powietrzem, a więc wdmuchiwało z powrotem dwusiarczek.

W chwili obecnej nowe urządzenia wentylacyjne, nawiewne i wydawne, są już na ukończeniu. Do końca sierpnia uruchomione zostaną ostatnie punkty. I tu ma rację prof. Horst, zachwycając się tym systemem wentylacji. Zapewnia ona bowiem maksimum bezpieczeństwa robotnikom zatrudnionym w miejscach wydzielania się gazów.

Wydano na ten cel wiele pieniędzy, zużyto wiele materiałów. Od pewnego czasu działano bardzo szybko, do tego stopnia, że niektóre partie dokumentacji technicznej brano do wykonawstwa bez czekania na całość projektu, byle tylko możliwe poprawić stan bezpieczeństwa.

Sukcesem na dużą miarę jest również uruchomienie półsanatorium, w którym na dwutygodniowych turnusach ma kolejno przebywać cała załoga oddziałów zagrożonych. Warunki tu są doskonałe, wyżywienie świetne, pomoc lekarska stała. Dojazd z Jeleniej Góry do Karpacza do półsanatorium wygodny. Akcja ta ma obok oddziaływania profilaktycznego również ważne znaczenie, jeśli idzie o przyczynienie członków załogi do higieny osobistej, podnoszenie ich kultury. A tu właśnie leży, naszym zdaniem, inne ważne źródło niedostatecznego stanu BHP w Celwiskozie.

Załoga nie ma tradycji wiskozowej, rekrutuje się z bardzo różnego elementu. Wielu robotników nadużywa alkoholu. Większość nie przestrzega najbardziej elementarnych zasad higieny i bezpieczeństwa pracy, nie korzysta z istniejących urządzeń, czasem nawet stwarza dodatkowe zagrożenie (spanie na nieodgazowanych odpadach, pochylanie głowy nad miejscami wydzielania się gazu itp.).

Z CZASOPISM

O PROGRAM SPÓŁDZIELCZY

Drugi z kolei numer nowego miesięcznika poświęconego problemom spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu „Trybuna Spółdzielcza” jest nie mniej interesujący niż pierwszy. Okazuje się, że o dosyć wąskich zagadnieniach spółdzielczości zaopatrzenia i zbytu można pisać w sposób zajmujący szerszy krąg ekonomistów.

Poza dalszym ciągiem dyskusji rozpoczętej przez J. Wojtynę o konieczności zastąpienia istniejącego systemu skupu systemem zorganizowanej podaży produktów rolnych na uwagę zasługuje wystąpienie J. Drozdowicza domagające się opracowania generalnego programu spółdzielczości w ogóle, a spółdzielczości wiejskiej w szczególności.

Biorąc pod uwagę, że ruch spółdzielczy w swoich założeniach jest ruchem społecznym — gospodarczym Drozdowicz domaga się określenia jego stosunku do różnych organizacji społecznych, stronnictw politycznych itp. Za opracowaniem programu przemawia również fakt, że byłby on poważnym wkładem do prowadzonych obecnie prac nad modelem gospodarczym. Związkiem, że program ten, jak pisze J. Drozdowicz, powinien określać miejsce i rolę spółdzielczości w całokształcie gospodarki narodowej oraz perspektywy rozwoju różnych form spółdzielczości, jak również zadania społeczne, stojące przed organizacjami spółdzielczymi.

Drozdowicz proponuje powołanie zespołu wybitnych działaczy spółdzielczych i znawców problemów społeczno — gospodarczych uści dla opracowania projektu takiego programu. Projekt ten powinien być poddany szerokiej dyskusji publicz-

Nagminnym zjawiskiem jest nieuwzględnianie porządku i czystości w halach.

W tych warunkach najlepsze nawet urządzenia nie mogą w pełni eliminować wypadków zatrucia czy wczesnego zachorowania. Wydaje się jednak, że w zakładach zbyt mało się robi, by załogę wdrażać w odpowiedzialną wewnętrzną dyscyplinę pracy, uczyć ją kultury pracy. Tym bardziej, że obecnie daje się już zauważyć większą stabilizację załogi.

Względny produkcyjny, potrzeby naszego przemysłu włókienniczego nie pozwalają na unieruchomienie zakładów — dla przeprowadzenia ostatecznych prac instalacyjnych. Według opinii techników nie jest zresztą ani wskazane ani konieczne, zwłaszcza, że prace są już na ukończeniu. Jednakże względny produkcyjny nie mogą domniwać nad troską o człowieka. Nie może być ani przez chwilę tak, jak to wyraził jeden z poważnych uczestników konferencji, że „jeśli się chce mieć przemysł chemiczny, to trzeba z pewnych rzeczy zrezygnować. Na przykład Niemcy mają ten przemysł, ale w Renie nie ma ani jednego „śledzia”. My odwrotnie, chcemy mieć przemysł chemiczny, ale równocześnie chcemy mieć zdrowych ludzi w nim zatrudnionych, i nie dopuścimy do zatrucia dróg wodnych, i dążyć będziemy do nie zatrucia powietrza. A jeśli będą występowały tendencje lekceważenia tych spraw, będziemy ostro przeciw nim występować”.

Wbrew bowiem początkowym sugestiom przedstawicieli przemysłu i prasy nie znajdują się po dwóch stronach jakiejś wymagowanej barykady, lecz po jednej stronie. I tylko wzajemne zrozumienie, tylko świadomość celu, jaki się zamierza osiągnąć, przynieść może korzyści.

TADEUSZ JAWORSKI

nej i następnie odpowiednio skorygowany.

Wydaje się, że postulaty Drozdowicza zasługują na pełne uwzględnienie. I to wbrew wypowiedzi S. Cieślaka, który w tym samym numerze „Trybuna Spółdzielcza” usiłuje wykazać, że z opracowaniem programu spółdzielczości należy zaczekać do chwili, aż poszczególne pionory działalności spółdzielczej zdobędą odpowiednio doświadczenie. Wiele bowiem form działalności spółdzielczej, jak np. w mleczarstwie, ogrodnictwie, budownictwie, ochronie zdrowia dopiero się organizuje. Obecnie trzeba, zdaniem Cieślaka, poprzestać na rzetelnej ocenie teoretycznej praktycznego doboru spółdzielczości w przeszłości oraz ożywić wymianę doświadczeń i poglądów na temat wyników pracy spółdzielni, ich związków i central, czyli jak dosłownie pisze S. Cieślak „rozwojamy spółdzielczość, rozwijamy wymianę doświadczeń i poglądów, a nie spieszymy się z programem”.

Niesposób się z tym zgodzić. Program wyraźnie określający miejsce, zakres działania, zadania i perspektywy rozwoju ruchu spółdzielczego jest konieczny. Tak samo jak konieczny jest wyraźny program dla wielu innych dziedzin naszej działalności społeczno — gospodarczej. Brak wyraźnej sprecyzowanych poglądów na wiele zagadnień narazi naszą gospodarkę w ostatnim czasie na poważne straty, (pis)

SPROSTOWANIE

W artykule Krzysztofa Porwita pt. „Zbyle lepiej planować — trzeba więcej wiedzieć” zamieszczonym w nr 29 „Z. G.” — w piśmie szpiele, wiersz 14 zamiast „automatycznie” powinno być „autonomicznie”.

Redakcja

PANSTWOWE WYDAWNICTWA NAUKOWE

W BIBLIOTECIE DZIEŁ EKONOMII POLITYCZNEJ UKAZAŁY SIĘ NASTĘPUJĄCE PRACE:

1. A. Smith BOGACTWO NARODÓW, 1954, t. I/II, s. 537 i 510, zł 66.
2. D. Ricardo ZASADY EKONOMII POLITYCZNEJ I OPODATKOWANIA, 1957, s. 517, zł 66,50.
3. J. C. L. Simonde de Sismondi NOWE ZASADY EKONOMII POLITYCZNEJ, 1955, t. I/II, s. 377 i 381, zł 39,10.
4. Fr. Skarbek OGÓLNE ZASADY NAUKI GOSPODARSTWA NARODOWEGO, 1955, t. I/II, s. 302 i 323, zł 45,20.
5. M. Czernyszewski WYBÓR PISM EKONOMICZNYCH, 1956, s. 663, zł 30,50. Dzieła te, wydane w jednolitej szacie zewnętrznej, oprawne w płótno i obwołite, są do nabycia we wszystkich księgarniach naukowych. Sprzedaż ratą prowadzi wczorównia PWN, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 79, tel. 62291, wewn. 92.

W SERII HISTORII POLSKIEJ MYŚLI SPOŁECZNO-EKONOMICZNEJ UKAZAŁY SIĘ NASTĘPUJĄCE PRACE:

1. J. F. Nax WYBÓR PISM, 1956, s. 387, zł 26,50.
2. D. Kryński „WYBÓR PISM”, 1956, s. 216, zł 17,50.
3. J. K. Podolecki „WYBÓR PISM”, 1955, s. 302, zł 24,50.
4. POZATKI MARKSISTOWSKIEJ MYŚLI EKONOMICZNEJ W POLSCE.

WYBÓR PUBLICYSTYKI Z LAT 1880—1885 w opracowaniu M. Falkowskiego i T. Kowalka, s. 703, zł 39. Książki te są do nabycia we wszystkich księgarniach naukowych. Sprzedaż ratą prowadzi wczorównia PWN, Warszawa, ul. Krakowskie Przedmieście 79, tel. 62291, wewn. 92.

CZY OLSZTYŃSKIE OD MACOCHY?

JAN STEFANOWICZ

Tak się dziwnie składa, że artykuły poruszające problematykę województwa olsztyńskiego ukazują się w prasie warszawskiej zwykle pod koniec lata i na jesieni. Może to wpływ naszych jezior i lasów najchętniej odwiedzanych latem. Chcę jednak złamać tę tradycję i zabrać głos przed „sezonem”, bo Olsztynianie nie niedziedzi — w sen zimowy nie zapadają i chcą się nie chcą okragły rok muszą się parzyć z problemami, które ich dręczą.

Jakież to problemy? Generalnie jeden — aktywizacja województwa. Mówiąc jednak o aktywizacji — różni różne sprawy mają na myśli. Ja chcę poruszyć sprawę aktywizacji miast i miasteczek, których ludność może najbardziej dotkliwie odczuwać trudności gospodarcze województwa i najchętniej faktycznie poprawy. Ponieważ jednak miasteczka nie wiszą w próżni, a ich los jest ściśle związany z zaplecziem, kilka słów o tym zaplecziu, o gospodarce rolnej trzeba będzie powiedzieć.

Jeszcze jednak przed tym, konieczne jest zrobienie bilansu odtwarzania. Czym rozpoczniemy gospodarke. Otóż to. Z niewielkim kapitałem zakładowym. Pod koniec wojny Niemcy przeprowadzili ewakuację ludności. Pozostała ludność około 150 tys., w większości Warmiaków i Mazurów, w tym przewaga kobiet, dzieci i starców. Wyjeżdżająca ludność zabrała ze sobą dobytek.

Ilość pogłowia wynosiła w stosunku do stanu przedwojennego: bydła 1,6 proc., trzody 0,2 proc., koni 2,1 proc.

Miasta na skutek działań wojennych zostały zniszczone w 43%, a zagrody wiejskie w poszczególnych powiatach od 70 do 25%, zakłady przemysłowe w 70%. Większość maszyn została z nich wywieziona.

Oto z czym zaczęliśmy. Popelnialiśmy błędy w gospodarce, owszem. Ale nie pamiętała o stanie wyjściowym — oceniając teraźniejszość, jest błędem i niesprawiedliwością. A tak się często stan obecny ocenia.

Teraźniejszość wygląda następująco. Powierzchnia województwa wynosi ok. 21 tys. km kw., a ludność ok. 311 tys. (39 osób na km kw. przy średniej krajowej 88 na km kw.). Stanowi to 6,7% obszaru i 3% ludności w stosunku do całego Państwa (1955 r.).

Warunki naturalne: gleby raczej średnie, krótkość okresu wegetacyjnego, duża ilość opadów w okresie lata, zmienność klimatu, przy ubóstwie surowców mineralnych (głównie żwir, torf, wapienie i żakowy) wytyczają kierunek rozwoju województwa, jako regionu hodowlano-rolnego.

A oto wydajność osiągnięta w rolnictwie (1955 r.):

Plony q z ha		
Polska	woj. olsztyński	
Zboże	14,3	12,1
Ziemniaki	100	73
Pogłowia zwierząt na 100 ha użytków rolnych		
Bydło	38,8	29
Trzoda chlewna	53,4	40,6
Konie	12,5	10,1

Wydaje się, że zasadniczym błędem popełnionym tu w stosunku do rolnictwa było nieuwzględnienie jego warunków naturalnych, zapomnienie, że jest to obszar hodowlany, a nie zbożowy. Żądano dostaw zboża — a więc PGR czy chłopi orali nawet pastwiska. Efekt gospodarczy minusowy: niskie plony, deficyty w PGR, ucieczka chłopów z gospodarstw.

Obecnie sytuacja się zmieniła. Nowa polityka rolna zaczyna już dawać wyniki. Wystarczy przytoczyć choćby fakt, że w latach ubiegłych Prezydium PRN zasypywane były tysiącami podaj chłopskich o zmniejszenie ilości posiadanej ziemi, a obecnie wpływają podania o zwiększenie nadziałów. Zaczyna się również poprawiać gospodarkę w PGR.

A jak wygląda sytuacja w miastach? Miast jest 34, a ludności ok. 261 tys., w tym nierolniczej 243 tys. W 15 osiedlach żyje ok. 22 tys. ludności, w tym 18 tys. nierolniczej. Procent ludności miejskiej do całej ludności województwa wynosi 32 proc. (średnia krajowa 43 proc.).

Struktura zawodowa ludności stwierdza fakt słabej aktywizacji gospodarczej większości osiedli miejskich. Średni procent zawodowo biernych wynosi ok. 60 proc., a w miastach i osiedlach waha się od 65 do 75 proc. Dla przykładu w Barcicach 75 proc., w Jezierzanach 73 proc., w Białymstoku 71 proc., co wobec wysokiego procentu ludności w wieku produkcyjnym (ponad 50 proc.) wskazuje na niedostatek miejscowych warsztatów pracy.

Ta rezerwa sił roboczych wynosi w miastach i osiedlach razem ok. 41,5 tys. osób, w tym kobiet ok. 38,5 tys. Szacunkowo połowa z nich prawdopodobnie nie będzie pracować (kobiety wielodzietne, chore). Pozostali, choć nie zarejestrowani jako bezrobotni, chętnie widzieliby

możliwość zarobku (zarejestrowanych bezrobotnych ok. 1700).

Około 6 tys. osób dojeżdża do pracy z małych ośrodków miejskich do większych, gdzie łatwiej o pracę. W większych jest praca, nie ma mieszkań, a w małych są mieszkania — nie ma pracy.

Grupa miastotwórcza ludności wynosi w miastach większych — 35 — 40 proc., a w mniejszych i osiedlach 25—35 proc. ludności nierolniczej. Ludność rolnicza wynosi w tych ostatnich 30—60 proc.

Małe miasteczka zamierają. Czym więc trudni się ludność mała? W przemyśle — przeważnie drobny, choćby kluczowym z nomenklatury oraz rzemieślniczymi pracami ok. 9%, w budownictwie ok. 3 proc., w transporcie i łączności ok. 2,5 proc., podobnie w urządzeniach społecznych i kulturalnych w obrocie towarowym ok. 5 proc., w administracji ponad 3 proc., w gospodarce komunalnej 1 proc., w szkolnictwie zawodowym ok. 2,5 proc., inni ok. 3 proc. i wyjeżdżający do pracy ok. 2 proc.

Jest zaledwie kilka miast, gdzie ilość zatrudnionych w przemyśle jest poważniejsza. Są nimi: Kętrzyn (przemysł przetwórczy rolnych i spożywczych), Pisz, Szczytno, Dobre Miasto (drzewny), Ostróda (metalowy). W Olsztynie zaledwie 7,3 proc. zatrudnionych jest w przemyśle.

Te ośrodki miejskie, choć daleko im do tego, żeby móc stwierdzić, że nie im do szczęścia nie brakuje i jeszcze kilka innych mniejszych, jak Sępólno, Miłkowo, Korsze, jako tako na razie wegetują. Reszta natomiast na gwałt woła o aktywizację, tym bardziej, że przyrost naturalny z roku na rok wzrasta, z 19 proc. w 1950 r. do 29 proc. w 1955 r.

Aktywizacja — to słowo brzmi bardzo górnym. Czego jednak za nim szuka przeciętny mieszkaniec mia-

steczka czy osiedla, robotnik z małej fabryczki przemysłu terenowego, robotnica ze spółdzielni odzieżowej, urzędnik z Prezydium PRN czy MRN, młodzież kończąca szkołę? Czego oczekuje od aktywizacji człowiek, który dzień w dzień dojeżdża do pracy kilkadziesiąt kilometrów do większego miasta oraz niemała liczba tych, którzy tak by chcieli dorobić coś do skromnego budżetu rodzinnego. Ludzie ci, kiedy słyszą wyraz aktywizacja, zaczynają mówić o pracy, bo jej brak, o zarobkach, bo są niskie, o dachu nad głową, bo się często wali. Mówią o tym co ich najbardziej boli. Przez aktywizację rozumieją usunięcie tych bolączek, rozumieją poprawę swego bytu. A to osiągnąć można jedynie przez wzrost poziomu sił wytwórczych.

Mógłby się ktoś zapytać, czy istnieje zapotrzebowanie społeczne na pracę ludzi w małych miasteczkach, czy istnieje warunki, aby tę pracę im dać. Słyszysz się przecież często, że małe miasteczka czeka naturalna śmierć. Udowadnia się zwykle tezę w pierwszym rzędzie rozwojem środków komunikacji, udostępnianiem chłopu dużej ilości, tak że rezygnuje z usług małego, postępując techniki, rozwojem przemysłu, który likwiduje drobną wytwórczość, zapotrzebowaniem na usługi rzemieślnicze.

Podobno są kraje, gdzie buty stare się wyrzuca i kupuje nowe, bo się zlewało nie opłaca, gdzie rolnik nie tylko do małego, ale i do dużego miasta często nie musi jeździć, bo mu pocztą za zamówieniem przysłać czy to część zamienną do maszyny, czy wszystko co tylko potrzebuje, gdzie jest duża ilość samochodów ciężarowych dla odstawy płodów rolnych na większe odcieczki.

Jest to gdzieś indziej, będzie i u nas. Ale dziś nie ma. A chodzi o dziś. Dziś małe miasteczka czy osiedla mają do spełnienia funkcje usługowe w stosunku do wsi (rzemieślnicze oraz handlowe), jak pośrednicy w wymianie towarowej między wsią a dużym miastem. Tu trzeba zwrócić uwagę, że za daleko w wieś weszliśmy do chłopu z wieloma usługami, co przyczyniło się również do upadku miasteczek. „Rozprzysyliśmy” jakby miasteczko po terenie wsi — kowal, kłodziej — w porządku. Ale w jednej wsi spółdzielczy punkt szewski, w drugiej krawiecki, w trzeciej fryzjerski itd. nie przynosiły korzyści, wsi (i tak że wsi do wsi trzeba było do nich jeździć), a w dodatku były nierentowne, bo chłop i tak ciągnął do miasteczka, chcąc za jednym zamachem załatwić więcej spraw.

Ma to również uzasadnienie psychologiczne — potrzeba kontaktów ze światem, posłuchania nowinek, a choćby nawet chęć wstąpienia do gospody z sąsiadami, ciągnie chłopu do większego skupiska, jakim jest miasteczko. Istnieje więc zapotrzebowanie społeczne na pracę ludzką w miastach i osiedlach, zapotrzebowanie ze strony wsi na usługi zarówno rzemieślnicze, jak i handlowe.

Ale to nie wszystko. Istnieje zapotrzebowanie społeczne w skali

kraju na — powiedzmy ogólnie — masę towarową, a zwłaszcza na artykuły konsumpcyjne, przemysłowe i spożywcze oraz na materiały budowlane. Miejscowe surowce jak np. drewno, w poważnym procencie są wywołane do przerobu poza teren województwa, a są też w ogóle nie wykorzystywane. Jest to skutek bardzo słabego rozwoju przemysłu na tym terenie. W stosunku do całego kraju wartość produkcji przemysłowej wynosi 1 proc. przy zatrudnieniu 1,2 proc. Ze względu na ciężką sytuację finansową Państwa, na ograniczenia inwestycji, trudno liczyć, aby w bliskiej 5-letniej zostawiła tu zlokalizowana większa ilość kluczowych zakładów przemysłowych (poza Olsztynem, w którym przynajmniej jeden duży zakład o zatrudnieniu ok. 2.000 osób, w tym większość kobiet, powinien być bezwzględnie umieszczony).

I tu wyjście widzę w jak największym rozwoju drobnej wytwórczości, w najszerszym pojęciu tego słowa w miastach i osiedlach. To jest tego typu zakładów, gdzie dla produkcji zbytnia jest wielka koncentracja maszyn i wąski podział pracy. Tak pojęta drobna wytwórczość to nie tylko przemysł terenowy, spółdzielczy i drobny prywatny, ale i rzemiosło, chałupnictwo, przemysł domowy i ludowy.

Uruchomić tego rodzaju produkcję można szybko i tanio, a to ważne, jeśli istnieje do tego podstawowe warunki, jak energia, woda, gaz, światło, niewielkie pomieszczenia. A te warunki właśnie nasze miasteczka posiadają. Prawie 100 proc. budynków w miastach i osiedlach podłączonych jest do sieci elektrycznej. W 19 miastach czynne są gazowne. 44 miastach i osiedlach czynne są urządzenia wodociągowe, a 72% budynków posiadających te urządzenia, podłączonych jest do sieci kanalizacyjnej. Ulice mają w 70 proc. nawierzchnię twardą. Gęsta sieć dróg żelaznych i kołowych łączy miasta i osiedla.

Gożej jest z pomieszczeniami. Do miłków należy zaliczyć, że po 12 latach są jeszcze w większej ilości zakłady przemysłowe niewykorzystane i nie zniszczone. Są co prawda, ale jest ich niewiele. Jest w miastach 8 browarów, kilkanaście młynów, kilka tartaków, wiele cegielni. Wymagają one naturalnie odpowiednich nakładów. Razem jest około 30 takich obiektów.

Nasz konkurs

NIEWYKORZYSTANE MOŻLIWOŚCI

Codziennie w naszym Rzeszowie i tysiącach miast Polski, wyrzuca się śmieć, który, grube miliony w postaci odpadków użytkowych, a zwłaszcza konsumpcyjnych. Wiadomo. W każdym domu, w każdym gospodarstwie — miejskim, pozaurbanym prawie — że zupełnie zwierząt domowych, pełnia część produktów nie jest konsumowana. Resztki obiadu wylewa się po prostu do kanalu. Zeschły chleb, resztki jarzyn, lupiny z kartofli i jabłek wyrzuca się na śmietnik, razem z odpadkami niekonsumpcyjnymi, papierami itp. Z tego domowego śmiecia Zakład Oczyszczania Miasta wywozi odpady konsumpcyjne na zbiorowy śmietnik miejski. Wynik tych tradycyjnie ustalonych porządków jest bardzo optymistyczny. Nie zabezpieczono odpadki stanowiący wyjątkowo zarażone różnorodnych przez muchy. Są kuchnia dla pasażerów — wrogów człowieka, myszy i szczurów. Sprzymierzyliśmy się sami tymi szkodnikami, które z drugiej strony zwalczamy. Znamy są nam wszystkie sławetne akcje dezynfekcji, dezynfekcji. Samo ich zafiksowanie kosztuje chyba nie mniej niż kosztowałoby rozsądne rozwiązanie problemu gospodarki odpadkami użytkowymi.

Dochozimy więc do typowego absurdu. Dożywiamy, sprzymierzyliśmy się z szkodnikami, na których zwalczanie organizujemy kosztowną akcję. Absurdy ekonomiczne drogo kosztują i kładą się ciężarem na życiu całego społeczeństwa. W Niemczech problem wykorzystania odpadków użytkowych rozwiązano bardzo prosto i bardzo pożytecznie. Po prostu pod sankcją grzywny zakazano wyrzucania odpadków użytkowych (konsumpcyjnych) razem z odpadkami nieużytkowymi. Każde gospodarstwo zaopatrzone w dwa naczynia: jedno na odpady niekonsumpcyjne, drugie na odpady konsumpcyjne. Te ostatnie zabierane są przez specjalny bezkarny (będący własnością magistratu i odwołany do miejskiej tuczarni) świat. Każde miasto, każde osiedle typu miejskiego wychowuje w ten sposób sporo sztuk tuczni chlewniej, daje setki kilogramów mięsa na rynek i zarobek ludzom zatrudnionym w tuczarniach. Rozwiązanie naprawdę gospodarskie.

Wydaje się, że nie stoi na przeszkodzie, aby w podobny sposób problem ten rozwiązać u nas, tym bardziej, że pierwsze kroki w tym kierunku zostały już uczynione. O ile jestem dobrze poinformowany w województwie katowickim istnieją już 3 tuczarnie przemysłowe, których hodowla oparta jest wyłącznie na odpadkach kuchennych. Zbiorem odpadków zajmują

Większe zakłady uruchamiać po winien jednak przemysł terenowy i spółdzielczość, które mają na to fundusze. Natomiast specjalnie duże możliwości rozwoju istnieją poza rzemiosłem — dla chałupnictwa i przemysłu domowego i ludowego. Tu potrzebne nakłady inwestycyjne są minimalne. Nie potrzeba budować hal fabrycznych — praca odbywa się w mieszkaniu, oprzyrządowanie zaś proste i tanie.

Jednakże niezbędny jest organizator takiej produkcji. Tysiące kobiet w miastach i osiedlach czeka na pracę, którą mogłyby wykonywać w domu. Nie wiedzą jednak, ani co robić, ani jak, z czego i dla kogo. Pewne osiągnięcia ma już na tym polu przemysł terenowy i spółdzielczość. Trochę zajmuje się tym i handel. Ale to wszystko w porównaniu do potrzeb niewiele znaczy.

Dlatego uważam, że choć to obecnie niepopularne, opłaciłoby się powołać do życia instytucję, która zajęłaby się organizacją, zaopatrzeniem i zbytem produkcji chałupniczej i domowej. Potrzeba istnieje. Jeśli nie zajmie się tym instytucja społeczna, zrobi to za nią nakładka prywatna, zagarniając gros zysku, z pracy chałupników dla siebie.

Turystyka, rozbudowa wszelkiego rodzaju urządzeń dla zaspokojenia potrzeb turystów, wczasowiczów może być również dla szeregu miast, jak Mrągowo, Giżycko, Ostróda — osiedli jak Mikołajki, czynnikiem poważnie je aktywizującym, dającym pracę wielu mieszkańcom.

Problem aktywizacji nabiera na ostrość, jeśli sobie uświadomimy, że poważny procent ludności miejscowego pochodzenia to rzemieślnicy i robotnicy. Trudne warunki materialne poważnie wpływają na ich dążenie do wyjazdu do Niemiec. A zagadnienie reparańców ze Wschodu, których województwo ma przyjąć poważną ilość, jak będzie rozwiązane bez zapewnienia im pracy? Wszyscy na wieś nie pójdą.

Problem aktywizacji województwa olsztyńskiego nabrzmiał i wymaga szybkiego rozwiązania. Województwo nie jest biedne, ale jest zubożone. I dlatego potrzebna jest pomoc ze strony władz centralnych w postaci kredytów, przydziału materiałów budowlanych, nawozów, maszyn, specjalistów, ażeby zregenerować siły wytwórcze województwa, a wtedy już sami damy sobie radę i jeszcze innym pomożemy.

MYŚLI

Myśli te powstawały w różnych epokach i warunkach. Myśli lata, nadchodziły nowe czasy i porządki — myśli te pozostały trwałe, żywe i aktualne. Warto niektóre z nich przypomnieć.

„...Ekonomia nie jest niczym innym, jak dziełem zdrowego rozsądku, ...dzieło jest bez pomocy zdrowego rozsądku byłoby zawsze częste i puste...”

(A. Marshall)

„...Nie skrzydeł trzeba ludzkiemu umysłowi, lecz ołowiu...”

(Bacon)

„Są uczeni jak gwiazda polarna — stale się poruszają ale nie posuwają naprzód...”

(Wolter)

„...Ogólnie mówiąc nauka zajmuje się przewidywaniem oporu natury, podczas gdy polityka i organizacje społeczne służą do zwalczania oporu ludzi...”

(Bertrand Russel)

„...Każdy słyszy to, co ostatecznie trafia do jego rozumu...”

(Goethe)

„Odwieczne doświadczenie stwierdza, że człowiek, który posiada władzę, odczuwa skłonność jej nadużywania...”

(Monteskiusz)

KULT NIEUCTWA

Nie to już najprzeróżniejszych kultów przeżyła nasza biedna Ojczyzna, poczynając od prastawianego kultu Swantewity, poprzez kult wolności szlacheckich po całkiem niedawny jeszcze kult jednostki? Ile nas poniekąd z tych słabości kosztowały? Lepiej nie wspominać, skoro jakoś się z nich wykaraskaliśmy.

Jedną jednak formą kultu utrzymuje się u nas niezmienność. Jest to kult nieuctwa, niekompetencji i dyktanda. I o tym nie warto było wspominać, wiele już bowiem papieru zaplanowano na ten temat, gdyby nie głosy występujące ostatnio w jego obronie, gdyby nie zarzuty, że wpadamy, z całej w kult dyplomu, w przecenianie cenzusu naukowego, gdyby nie opracowane ostatnio przez GUS dane statystyczne.

Stare przysłowie mówi, że z dwójga złego lepsze mniejsze, lepiej więc mieć przyjemność walki z kultem dyplomu niż ponosić konsekwencje kultu nieuctwa i niekompetencji. Zarówno jednak cyfry jak i głosy ostrzegające nas przed kultem dyplomu dowodzą, że przysławia ucale nie są mądrością całego naszego narodu, że kult nieuctwa kwitnie w najlepsze, że daleko nam jeszcze nie tylko do kultu dyplomu lecz i należytego doceniania cenzusu naukowego.

Z łatwością można się o tym przekonać, jeżeli się weźmie pod uwagę, że w końcu ubiegłego roku zaledwie 15% dyrektorów i kierowników naszych przedsiębiorstw posiadało wyższe wykształcenie, natomiast 40% posiadało zaledwie wykształcenie podstawowe.

Niektórzy sądzą u nas, że dyrektor naczelny, to stanowisko w części polityczne, wymaga udziału organizatorskich, umiejętności kierowania ludźmi, dużego doświadczenia, a nie odpowiedniego wykształcenia akademickiego i wiadomości technicznych. Od tego bowiem są zastępcy dyrektora do spraw technicznych. Niestety z zastępcami do spraw technicznych jest jeszcze gorzej. Wśród nich tylko 12% posiada wyższe wykształcenie. Za to aż 54% posiada wykształcenie zaledwie podstawowe.

W dodatku, braków wykształcenia akademickiego

kiego nie zastępuje bynajmniej wieloletnie doświadczenie zawodowe. Wśród zastępców dyrektora do spraw technicznych aż 71% posiada staż pracy na stanowiskach kierowniczych poniżej 5 lat, a ponad 51% posiada staż pracy poniżej 3 lat. Niewiele lepiej jest z dyrektorami naczelnymi. Wśród nich bowiem 59% nie posiada nawet 5-letniego doświadczenia na stanowiskach kierowniczych.

Nie lepiej przedstawia się sprawa wśród fachowego personelu technicznego przedsiębiorstw. Okazuje się bowiem, że 44% naczelnych „inżynierów”, 83% głównych mechaników, tyleż procent szefów produkcji i dyspozytorów oraz 53% głównych technologów nie posiada wyższego wykształcenia. Ich braków w edukacji politechnicznej nie łagodzi bynajmniej drugoletnie doświadczenie zawodowe. Powyżej 5 lat pracuje u nas bowiem zaledwie 31% naczelnych inżynierów, 28% głównych mechaników, 27% szefów produkcji i dyspozytorów oraz 17% głównych technologów.

Jeszcze gorzej jest z kwalifikacjami personelu ekonomicznego przedsiębiorstw. Wyższe wykształcenie posiada zaledwie 19% kierowników działów planowania i 9% głównych księgowych. Za to 68% planistów i 58% głównych księgowych pracuje na tych stanowiskach poniżej 5 lat.

Tym, którzy uważają, że ten niski poziom wykształcenia naszych kadr kierowniczych nie wpływa poważnie na jakość pracy przedsiębiorstw, warto zwrócić uwagę na pewną prawidłowość danych statystycznych. Otóż okazuje się, że najbardziej kult nieuctwa rozpowszechnił się na odcinkach gospodarki, które anegdotycznie już też pracują. Pod tym więc względem palmę pierwszeństwa dzierżą państwowe gospodarstwa rolne z 5% dyrektorów z wyższym wykształceniem i 62% dyrektorów co najwyżej po powszechnym oraz 84% głównych księgowych bez wyższego wykształcenia i w dodatku z minimalnym stażem pracy. W niczym nie ustępują im jednak przedsiębiorstwa CRS „Samopomoc Chłopska” z 78%

dyrektorów i 86% ich zastępców do spraw technicznych, którzy edukację swoją zakończyli na szkole powszechnej, w dodatku 72% dyrektorów i 75% ich zastępców pracuje na tych stanowiskach nie dłużej niż 5 lat, większość zaś poniżej 3 lat. Następne miejsca w walce o pierwszeństwo w kulty nieuctwa zajmuje spółdzielczość pracy i przedsiębiorstwa handlowe. Dalej idą przedsiębiorstwa Ministerstwa Przemysłu Lekkiego, Przemysłu Spożywczego oraz Przemysłu Drobnoego i Rzemiosła.

Zrozumiałe jest, że na pracę przedsiębiorstwa poza dyrektora, kierownictwem technicznym, kierownikiem planowania i głównym księgowym duży wpływ ma praca kierownika zaopatrzenia i kierownika personalnego. Rzecz zjawiska, że o kwalifikacjach zaopatrzeniowców i personalników statystyki milczą.

Wielu polityków państwa kapitalistycznych od lat niepokoi duża liczba młodzieży kształcącej się na naszych wyższych uczelniach. Uważają oni bowiem, że o rozwoju gospodarczym państwa o równie mniej więcej bieżącej ekonomicznej decyduje wyłącznie poziom kadr kierowniczych.

W świetle podanych tutaj cyfr można jednak mieć chyba wątpliwość, czy obawy te są uzasadnione? Można obawiać się, że rozpanoszone kult nieuctwa i dyktanda naszych wysokokwalifikowanych kadr do kierownictwa nie dopuści. Stare hasło o maturze i oficerze, jak widać, nie utraciło wiele ze swojej aktualności. Jednocześnie bowiem mówi się u nas o nadmiarze wykształconych ekonomistów, prawników, humanistów, o konieczności zredukowania ilości miejsc na wielu kierunkach studiów wyższych. Można w każdym niemal przedsiębiorstwie spotkać wielu referentów, starszych i młodszych księgowych, inżynierów itp. o wyższych od swoich przełożonych kwalifikacjach.

Dobrze jeszcze, że nikt nie wpadł dotychczas na pomysł, żeby salowe objęły kierownictwo szpitali, a lekarze wynosili nocniki.

G. PISARSKI

ŻYCIE gospodarcze

Redakcja:
Warszawa, ul. Hoża 35.
Telefony: Redaktor Naczelny — 806-28.
Sekretarz Redakcji — 806-28, Redaktorzy — 883-92, Centrala — 803-13, 860-71.

REDAGUJE ZESPÓŁ: W. Brus, A. Brzeski, S. Frenkel, J. Głowczyk, T. Jaworski, M. Kabaj, T. Kowalik (red. nacz.), K. Łaski, M. Mieszczańkowski, J. Mikołajski (sekr. red.), Z. Mroczka, M. Ostrowski, J. Pajestka, R. Perutkiewicz, A. Rajkiewicz, W. Sadowski, H. Sukienicki (z-ca red. nacz.), J. Wernier, J. G. Zieliński

WARUNKI PRENUMERATY: rocznie 104 zł, półrocznie 52 zł, kwartalnie 26 zł. Cena i egz. z 2.—. Zamówienia i przedpłaty na prenumeratę przyjmują urzędy pocztowe i listonosze. Instytucje i zakłady pracy mające siedzibę w miejscowościach, w których są Oddziały i Delegatury „Życia” składają zamówienia w miejscowych Oddziałach i Delegaturach „Życia”. Zamówienia na prenumeratę należy składać do dnia 10-mca poprzedzającego okres prenumeraty. Niezamówionych rękopisów redakcja nie zwraca.

WYDAWCA: „Polskie Wydawnictwo Gospodarcze” Przedsiębiorstwo Państwowe. Skład i druk RSW „PRASA”, ul. Marszałkowska 3/5. Nakł. 17920. Zam. 1376, B-79